ROK XVII NR 14 (855) ŁÓDŹ, 4 KWIETNIA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ODGŁOSY

► OCHRONA PRAWNA ŚRODOWISKA — doc. dr hab. E. Smoktunowicz ► DLACZEGO ZMARŁ GOYA? — B. Siłkin ► U NAS W OLIMPII... — Eugeniusz Iwanicki ► WIERSZE ANGO BOJANOVA ► AGENT BRUTUS ► CZYŻBY SAMOTNY KOWBOJ? — Andrzej Grun ► POŁOŻENIE POWAŻNE, A KRYZYS REALNY — Jerzy Czech ► MOCNE UDERZENIE — Krzysztof Drzewiecki ► WIĘZIENIE — Georges Simenon ► SAMOGWAŁT NA PRZEGUBACH — Jan Gontal ► POLEMIKI ► FELIETONY ► RECENZJE ► REPORTAŻE ► SEX W LITERATURZE ►

Fot. Archiwum

RYSZARD BINKOWSKI

ZIELONI IDĄ W GÓRĘ

Na szosie pojawiła się sylwetka rowerzysty w czerwonej wełnianej czapeczce. Pełne słońce, lecz poranek marcowy chłodny, a ten w czapeczce naciskał ostro pedały, pochylony nisko nad kierownicą.

— W Pawlikowicach już jeżdżą — zauważył siedzący za mną piegowaty chłopak w brązowej kurtce ortalionowej.

— W Bełchatowie chyba też już zaczęli — powiedziałem.

— W Bełchatowie też. Ale Pawlikowice są lepsze.

— No, a Kaczmarek?

— Józek jest z Bełchatowa, i on jest najlepszy, ale w Pawlikowicach jeździ więcej dobrych kolarzy, którzy wygrywają ważne wyścigi.

Zaczął sypać nazwiskami. Tak dałem się wciągnąć w rozmowę, która zdopingowała mnie do zebrania materiału o „zielonych" sportowcach Ziemi Łódzkiej. I nie tylko o kolarzach, najsilniejszych reprezentantach sportu wiejskiego, który w okresie XXX-lecia przeżywał swoje wzloty i upadki.

DOBRE POCZĄTKI

W roku 1947 rozpoczął treningi w **LKS** długonogi chłopak, który bez trudu zdobył mistrzostwo Łodzi w skoku wzwyż, zarówno w kategorii chłopców w wieku do lat 15, jak i starszych. Kiedy poszedł do wojska, zajął się nim **CWKS** i chłopak zaczął biegać przez płotki. Miał sporo sukcesów na arenie krajowej, później w województwie łódzkim, a jego rekord w biegu płotkarskim na 100 m wynosił 15,8 sek.

W 1952 roku, po odbyciu służby wojskowej, jeszcze w sortach kadrowych **CWKS**, zgłosił się do **SP**, bo chciał zostać kierowcą, ale natknął się na obecnego sekretarza **RG LZS**, Marczewskiego i ten wciągnął go do pracy w Radzie Wojewódzkiej zrzeszenia. Został starszym inspektorem, później trenerem — koordynatorem **RW LZS**. Ale nadal biegał. Najpierw w „Unii", a od 1956 r. w **LZS**, m. in. dwukrotnie zdobywając mistrzostwo wsi w biegu płotkarskim.

Teraz proszę o rozgrzeszenie, gdyż zacząłem od chwalenia „góry", czyli prezesa. Tym płotkarzem bowiem jest obecny przewodniczący **RW LZS** w Łodzi, **Zdzisław Skibior.**

— Jako zapalony lekkoatleta — mówi Skibior — **organizowałem i propagowałem w województwie tę właśnie dyscyplinę sportu. Ale jakie były początki sportu na wsi, to pan sam powinien pamiętać.**

— Pamiętam. To były dobre początki. Do wsi przyjeżdżały robotnicze ekipy. Przywożono sprzęt, dawano pokazy mistrzów.

— To trochę później. Zaraz po wojnie brakowało sprzętu nawet w miastach. Ale faktem jest, że w latach pięćdziesiątych sport wiejski przeżywał okres rozkwitu. Przyczyniała się do jego rozwoju głównie SP. W tym okresie (lata 50—55) mieliśmy w województwie łódzkim 820 LZS-ów, z ponad 50 tys. zawodników. Ja byłem m. in. założycielem sekcji l.a. w Rzgowie i Andrzejowie i jeździłem tam na treningi. Utworzona później sekcja l.a. „Pilica", do której należeli najlepsi zawodnicy z województwa, była zdecydowanie pierwsza w okręgu łódzkim, liczyła się też w kraju.

Dalszy ciąg na str. 6

ALEKSANDER RUSS

ERNA GRUHN I GENERAŁOWIE

— Mówi prostytutka Hildegard Schulz z rewiru przy Alexanderplatz 7—25. Chciałabym zostać panią generałową, polną marszałkową. Proszę wpisać mnie na listę. Tylko pamiętajcie, że narzeczony musi być wysoki i gruby, bo ja lubię grubych...

— Tu dom publiczny przy Allerheiligengasse. Jest nas dwanaście. Same doborowe dziewczynki. Czy macie jeszcze na składzie generalfeldmarszałków? Jeśli nie, to reflektujemy na zwykłych generałów. Najlepsi byliby nasi bywalcy...

Takie niecodzienne zgłoszenia napływały wiosną roku 1938 do gmachu przy berlińskiej Bendlerstrasse, gdzie mieściło się ministerstwo wojny hitlerowskiej III Rzeszy. Pachnący ostrą wodą kolońską panowie z czerwonymi naszywkami na spodniach odbierali telefony od krzykliwych berlińskich cór Koryntu i przeklinali szefa, który wysmażył im kompromitujący pasztet.

LIKWIDACJA RYWALA

Panna Erna Gruhn, stenotypistyka w Kriegsministerium nie spodziewała się, że jej znajomość z polnym marszałkiem von Blombergiem, pierwszym i ostatnim z hitlerowskich ministrów wojny, doprowadzi do jednego z największych skandali w „tysiącletniej Rzeszy".

Dalszy ciąg na str. 4

KAROL BARSZCZEWSKI

Lubię jeździć do Poznania. Lubię i koniec. Lubię to miasto, które mimo, że nie jest drugim co do wielkości miastem w Polsce robi takie wrażenie właśnie, jakby drugim było, jakby stało w kolejce tuż za Warszawą; które jest miastem zadbanym, ale nie wypranym i przepuszczonym przez magiel, które dokłada wszelkich starań, aby być miastem nowoczesnym, zachowując obok owej już zrobionej i robionej aktualnie z coraz większym rozmachem nowoczesności, enklawy stare, pieczołowicie w swojej zabytkowej starości utrzymywane, hołubione z pełną świadomością, że są nie tylko świadectwem lat minionych, lat dawnych, świadectwem mozolnego wysiłku naszych praojców, ale że są także emitorami nastroju, specyficznej atmosfery, swoistego romantyzmu, którego głód odczuwamy, my, ludzie współcześni, wpisani w nowoczesność (jaka by ona nie była) coraz mocniej, coraz wyraźniej. Właśnie tak. My, ludzie wpisani w nowoczesność osiedli, typowi w typowości, standardowi w standarcie, my ludzie zza meblościanek, szukamy starych murów, czując instynktownie, że tkwi w nich siła, któr pomoże nam znieść owe meblościanki, koszmarną nudę osiedli, sztampę typowych mieszkań M-2 i M-3. A żeby nikt do mnie nie miał pretensji wyjaśniam, że nie drwię tu z naszej nowoczesności — bo każdy ma taką nowoczesność na jaką go stać i na jaką zasługuje, taką jaką sobie wypracował i jaką pozwolono mu wypracować.

wiosna74poznań

Lubię więc Poznań tak jak lubię stary Kraków i Gdańsk, ale ponieważ częściej jeżdżę właśnie do Poznania, więc — bliższa koszula ciału...

Ponadto w Poznaniu zawsze mi się coś takiego przytrafi, co mogę nazwać małą, maleńką przygodą, co nauczy mnie czegoś nowego lub utwierdzi w czymś, co wiedziałem już wcześniej, a czego nie byłem do końca pewny; zdarzy mi się tam zawsze jakaś taka historyjka, która rzuci nieco odmienne światło na sprawy codzienne, błahe, a wtedy te sprawy błahe i codzienne jawią mi się w innej zupełnie proporcji, w innych, nieprzeczuwanych konfiguracjach.

Poza tym jeżdżę do Poznania z racji dziejących się w tym mieście różnych imprez, a przede wszystkim Targów, co z kolei leży w zakresie moich obowiązków zawodowych.

Przypuszczam że powyższe wyjaśnienia w stopniu dostatecznym tłumaczą moją ostatnią bytność w mieście Poznaniu tym bardziej, że jak podały wiarygodne źródła informacji odbywały się tamże w dniach od 17 do 24 marca Targi Krajowe — Wiosna 74. Targi owe dzieją się na terenie zwanym „terenem targowym", który to teren otoczony jest słusznie miejscami płotem, a miejscami murem i na który wejść można przez cztery portiernie, okazując delegację służbową lub służbową kartę wstępu lub też nie okazując nic.

Dalszy ciąg na str. 6

Fot. Archiwum

MOCNE UDERZENIE

Czytaj na str. 5

NOTY i OPINIE

ŁÓDZKI ODDZIAŁ STOWARZYSZENIA DZIENNIKARZY POLSKICH dokonał obrachunku trzyletniej działalności i wybrał nowe władze. W zebraniu sprawozdawczo - wyborczym SDP w Łodzi uczestniczyli: sekretarz KŁ PZPR — **Zbigniew Faliński**, przedstawiciel Wydziału Propagandy, Prasy i Wydawnictw KC PZPR — **J. Barnet**, prezes ZG SDP — **St. Mojkowski**, wiceprezes ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch" — **W. Bek**, kierownik Wydziału Propagandy KW PZPR w Łodzi — **A. Kusiak.**

W referacie, otwierającym dyskusję, wygłoszonym przez **Wojciecha Drygasa**, jak i w samej dyskusji mówiono o sprawach, które powinny znaleźć się w centrum zainteresowania Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a dzięki którym łódzcy dziennikarze będą mogli jeszcze bardziej skutecznie wypełnić swoje polityczne i społeczne zadania.

Prezesem nowo wybranego zarządu został ponownie **Wojciech Drygas** (Karuzela), wiceprezesami: **Wiesław Machejko** (TV) i **Edmund Tulko** (Głos Robotniczy). Sekretarzem wybrano **Jerzego Szelewickiego** (Dziennk Łódzki), skarbnikiem — **Zbigniewa Skibickiego** (PAP). W skład zarządu weszli: **Jan Bąbiński** (Polskie Radjo) **Jerzy Kwieciński** (Głos Robotniczy), **Zbigniew Korzeniowski** (Polskie Radio), **Andrzej Królikowski** (Polskie Radio), **Jerzy Palka** (Głos Robotniczy), **Jerzy Panasewicz** (Express Ilustrowany), **Michał Strzelecki** (Express Ilustrowany) i **Wiesław Wróbel** (Dziennik Łódzki).

Wybrano Komisję Rewizyjną i Sąd Koleżeński oraz delegatów na Krajowy Zjazd SDP. Łódzkie środowisko dziennikarskie reprezentować będą w Warszawie: **Wiesław Bek** (ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch"), **Wojciech Drygas** (Karuzela), **Sergiusz Klaczkow** (Głos Robotniczy), **Jerzy Katarasiński** (Dziennik Łódzki), **Jan Pakuła** (Polskie Radio), **Zofia Tarnowska** (Dziennik Łódzki), **Edmund Tulko** (Głos Robotniczy), **Lucjusz Włodkowski** (Odgłosy) i **Zbigniew Wojciechowski** (Polskie Radio).

Δ **W PANORAMIE TRZYDZIESTOLECIA** w kwietniu gości w Warszawie **GDAŃSKIE.** W programie występy teatrów Wybrzeża Gdańskiego, Opery i Filharmonii Bałtyckiej, wraz z którą koncertować będzie **Konstanty Kulka.** W Pałacu Kultury i Nauki wystawa prezentująca dorobek gospodarczy kulturalny i naukowy Wybrzeża Gdańskiego. W warszawskiej „Gastronomii" potrawy kaszubskie i z ryb.

Δ **„VENUS 74"** od maja w Krakowie. Tradycyjnie już co roku Krakowskie Towarzystwo Fotograficzne organizuje wystawę aktu i portretu kobiety. Jest to już piąty międzynarodowy salon fotograficzny poświęcony temu tematowi i — jak zawsze — wzbudzający wiele kontrowersyjnych opinii.

Tym razem ze względu na wiele zgłoszonych prac ich ekspozycja odbywać się będzie w dwu etapach: pierwszy od 5 maja do 31 października 1974 roku i drugi — od 1 listopada 1974 roku do 28 lutego 1975 roku.

Δ **AUTOBUS DLA 110 PASAŻERÓW** kursuje w próbnej jeździe po Warszawie. Jest to trzydrzwiowy „Berliet" typu PR — 110, który nie jest jeszcze nawet prototypem. Francuska firma „Berliet" — współpracująca z Polską — skieruje również do Warszawy prototyp autobusu „PR — 110". Seryjna produkcja tych autobusów przewidziana jest na przyszły rok i wtedy zaczną one kursować na liniach komunikacyjnych Warszawy.

Δ **WSPÓŁPRACA PRZEMYSŁU LEKKIEGO Z POLITECHNIKĄ ŁÓDZKĄ** trwa już od dłuższego czasu. Przed 5 laty zapoczątkowano wspólne posiedzenie Rady Wydziału Włókienniczego PŁ i kierownictwa MPL. Ostatnio odbyło się wspólne posiedzenie Senatu PŁ i kierownictwa MPL, na którym omówiono kierunki rozwoju przemysłu lekkiego do 1990 roku oraz możliwości i potrzeby badań naukowych uczelni.

Minister Tadeusz Kunicki został udekorowany odznaką „Zasłużonego dla Politechniki Łódzkiej".

Δ **„SREBRNĄ ŁÓDKĘ"** — nagrodę Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi oraz Łódzkiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich otrzymała **Jadwiga Andrzejewska** z Teatru Powszechnego za kreację roli tytułowej w „Matce Courage" B. Brechta.

Jadwiga Andrzejewska w plebiscycie Czytelników „Odgłosów" i „Expressu Ilustrowanego uznana została za Łodziankę 1973 roku.

WARSZAWA 2000

„CAŁY NARÓD BUDUJE SWOJĄ STOLICĘ" — oswoiliśmy się już z tym hasłem. Stało się ono rzeczywistością i znikła potrzeba społecznego gromadzenia pieniędzy na odbudowę stolicy. Zbudowaliśmy Warszawę — piękniejszą niż dawniej, bo bardziej nam współczesną, bo bardziej odpowiadającą naszym wymaganiom i marzeniom.

Świat nie stoi jednak w miejscu i wiele narodów buduje swoje stolice, przeznaczając na to spore fundusze troszcząc się o zabytki swojej przeszłości, wytrwale dążąc do nowoczesności. Dla nas Polaków pojęcie **STOLICA**, pojęcie **WARSZAWA** mają jednak szczególne znaczenie.

„Warszawa była, jak i będzie centralnym punktem na mapie kraju — powiedział na spotkaniu stołecznego aktywu partyjno-gospodarczego premier Piotr Jaroszewicz. **— Z niej idą nici zespalające cały ogranizm państwa, ona jako skupisko centralnych ogniw politycznych i ogniw zarządzania, jako prężny ośrodek gospodarczy, naukowy i kulturalny promieniuje na kraj rosnącymi wartościami materialnymi i intelektualnymi."**

Ale nie tylko dlatego Warszawa ma dla nas tak szczególne znaczenie, że koncentruje w swoich murach centralne ogniwa, że skupia ludzi, decydujących o sprawach kraju. Jest też to dla nas Polaków miasto symbol. Jest przykładem bohaterstwa i pracowitości, przykładem najwyższych poświęceń dla ojczyzny.

Od chwili, kiedy nadwiślańska osada stała się stolicą Polski, zaczęła odgrywać decydującą rolę w życiu narodu. To lud Warszawy wzywał na barykady, dążąc do wyzwolenia narodowego i społecznego, to lud Warszawy bronił Polski nawet wtedy, gdy ludzie nią rządzący szukali schronienia na emigracji i niepomny na polityczne racje, chwytał za broń, aby skierować ją przeciw znienawidzonemu okupantowi. Warszawa jest symbolem męczeństwa i bohaterstwa. Nie przypadkiem chciano ją zrównać z ziemią, a ziemię tę zaorać, aby nigdy już więcej nie powstało tu miasto. Ale Warszawa jest, żyje, rozwija się. Stała się też dla nas symbolem pracowitości. To właśnie tu — w latach jej odbudowy — narodziło się między innymi „warszawskie tempo". O Warszawie śpiewano piosenki. Ktoś nawet w piosence zakochał się w „pewnym mieście" i choć śmiano się z tego później, piosenkę tę śpiewają do dziś.

Świat nie stoi jednak w miejscu. I jeśli Warszawa ma być dla nas nadal symbolem pracowitości, pokojowej działalności dla całego narodu i dla innych narodów, bo stąd wielokrotnie rozlegał się głos, proponujący takie rozwiązania na międzynarodowym forum, które pokój ten tylko by utrwalała — jeśli więc Warszawa ma być nadal takim symbolem, to musi nadążać za postępem, musi unowocześnić się, dyktować tempo krajowi i rozwijać się harmonijnie razem z nim. I tak właśnie będzie.

Biuro Polityczne KC PZPR podjęło uchwałę o rozwoju Warszawy w latach 1976 — 1980. Dzięki tej uchwale, w oparciu o społeczny i gospodarczy dorobek miasta, będzie zagwarantowany dalszy i szybki rozwój Warszawy. Nastąpi modernizacja przemysłu stolicy. Dalszy rozwój jej gospodarki daje bowiem podstawę dla poprawy warunków życia i pracy mieszkańców stolicy. Dochód powstający w zakładach przemysłowych Warszawy jest wyznacznikiem tempa rozwoju miasta.

Nastąpi też szybki rozwój bazy naukowej i dydaktycznej, aby myśl naukowa stolicy mogła twórczo zasilać gospodarkę całego kraju, współpracując owocnie z naukowymi ośrodkami innych regionów kraju.

Warszawa powstała z gruzów wolą i wysiłkiem całego narodu. Był jednak w najnowszej historii miasta okres, kiedy rozwijało się ono wolniej, kiedy zahamowano wiele inwestycji ważnych dla teraźniejszości i przyszłości Warszawy. Dopiero po roku 1970 ruszyły prace przy budowie Trasy Łazienkowskiej, Wisłostrady czy Dworca Centralnego. Dziś już pierwsze pociągi zabierają pasażerów z pierwszych peronów budującego się dalej dworca. W lipcu można będzie wybrać się na spacer Trasą Łazienkowską. W szybkim tempie rośnie Wisłostrada, tak jak rosną nowe dzielnice Warszawy. Marzeniem przestało być metro. Przewiduje się, że prace nad jego budową powinny się zacząć w 1976 roku, a w 1980 roku powinien być gotowy pierwszy, 8-kilometrowy odcinek trasy łączącej Natolin z Hutą „Warszawa".

Decyzja Biura Politycznego KC PZPR o rozwoju Warszawy w latach 1976 — 1980 stwarza możliwość harmonijnego postępu we wszystkich regionach kraju, stwarza podstawy dla tego postępu, kładąc duży nacisk na tworzenie warunków dla intensywniejszej pracy stołecznych ośrodków nauki i kultury, a to przecież nie pozostanie bez wpływu na resztę kraju. Dokonujemy przemian we wszystkich regionach, we wszystkich dziedzinach. W ogólnonarodowym dążeniu do przyśpieszania tempa, do nadrabiania zaległości i doganiania innych ma swój udział zarówno Łódź, Śląsk, jak i Wybrzeże. Różny jest wprawdzie nasz punkt wyjścia, różny poziom startu, różny zakres działań i celów, ale wszędzie jest ten sam zapał, ta sama dążność do tego, aby przyszłość nie zastała nas nieprzygotowanych, zapóźnionych.

Decyzja Biura Politycznego KC PZPR o rozwoju Warszawy zapadła w roku jubileuszu Polski Ludowej i daje ona wyraz dążeniu partii, aby świętując 30-lecie kierować spojrzenie w przyszłość, o przyszłości myśleć i dla przyszłości działać, bo tylko w ten sposób będziemy mogli więcej osiągnąć już dziś.

MARCIN RODAK

„PROWINCJAŁKI" BEZ JĄDER

Wiosna się cieli, w sercach dzwoni romantyka, pod „sufitem" dzwoni pustka, bo — jak mówią medycy — na przednówku brak witamin w organizmie. Niebezpiecznie — mówią medycy — rwać się z rozpaloną głową do odkryć i kozackich przytupów.

Raz Szczerowicz z **„Gazety Ziemi Piotrkowskiej"**, rozmarzony wiosennie, poszedł w miasto, aby napisać „Prowincjalki", jak Hamilton, bo w akapitach. Ucieszył się, że młodzież porządkuje przed szkołami, natomiast kredowe gryzmoły na ścianie jednej z posesji poważnie go zasmuciły. Że **„nikt się jakoś nie zabiera do zmycia głupawych napisów. Czemu niektórzy ludzie są tak mało wrażliwi?"**

Następnie, po zacytowaniu piosenki Matysiaków, Szczerowicz dokonał dwóch odkryć na raz. Że w Piotrkowie blisko cmentarzy jest ulica Krzywa, na której **„też to i owo jest krzywo, uliczka jest zbliżona do łuku, ale** (uwaga! uwaga!) **i niektórzy mieszkańcy choćby Ratajscy (posesja nr 26) potrafili już zadbać o uporządkowanie rabatek przed własnym domkiem..."**

To jest bomba! I dowód bystrości oraz wrażliwość felietonisty. Dostrzegł znieczulicę, wyszydził, ale dozorcy nie opieprzył za gryzmoły, bo dozorca i tak nie czyta „Gazety Ziemi Piotrkowskiej".

Z kolei Szczerowicz postanowił przebudować Piotrków, z którym jest uczuciowo związany. Ale zabrakło mu jądra.

„Jakoś brak mi w Piotrkowie jądra miasta, centrum, city, tego liczącego ponad sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców ośrodka".

Szuka więc **„stężenia miejskości"** i psioczy na puste place w centrum. Zabudować wszystko i zrobić zwartość, gdyż **„przypomina to poszczerbione uzębienie babci. Potrzeba kilku plomb wyrazistych, rozświetlających o wieczornej porze".**

No, proszę! Wszyscy mówią, że nowoczesne centrum winno być przestronne, pełne zieleni, a tu plomby! Tylko komu i gdzie wstawić te plomby?

Ale Szczerowicz wie, co robi. Tylko przez dąsy można dojść do czegoś: **„w działaniu (nie w gadaniu, a w działaniu!) potrzeba nam więcej twórczego niezadowolenia, ażeby szybciej zmieniać wyraz miasta, jego twarz".**

Poruszając jeszcze wiele istotnych problemów, np. sprawę obwodnicy (**„wielu turystów może obok Piotrkowa Trybunalskiego przelecieć, nawet się nie oglądając"**), nazewnictwa ulic i usług, Szczerowicz wszystkich co zacniejszych piotrkowian uznaje za debilów, dochodzi bowiem do wniosków, że Piotrków może tylko uratować **„rozmach faceta, szerokie horyzonty, odwaga w podejmowaniu decyzji"**, a takim facetem mógłby być ktoś na wzór niedoszłego magistra historii z Wrocławia, czyli Henryka Rogalskiego, aktualnie prezesa PZGS w Nowej Rudzie.

Kiedy w sercach romantyka dzwoni i cieli się wiosna, rodzą się „Prowincjałki" bez jąder.

JAN GONTAL

POWRÓT NA MIEJSCE WYPADKU

Na 13 kilometrze od granic Łodzi międzynarodowa E-12 skręca łagodnym łukiem w prawo. Tramwajowe tory linii podmiejskiej przecinają szosę w poprzek, kierując się na wprost. Do tablic z napisami „Pabianice" umieszczonych na obu odnogach rozwidlenia pozostaje nie więcej niż 300 metrów...

W tym właśnie miejscu wydarzył się 17 lutego br. tragiczny wypadek. Było mglisto. Mokre powietrze i słaba widoczność. Nawierzchnia szosy śliska. Kierowca jadący przez Łódź zatrzymywał się na przystankach tramwajowych. Pytał o drogę do Katowic. Ludzie kazali mu jechać prosto, trzymając się cały czas szyn tramwajowych. Wyładowany rudą sześciotonowy „Star" jechał z prędkością 46—47 km/godz. Żadnych znaków drogowych po prawej stronie szosy nie było. Lewa strona drogi tonęła we mgle...

Na środku skrzyżowania, a więc niemal w ostatniej chwili wyłoniły się światła samochodu wyjeżdżającego z drogi po prawej stronie. Nie pomogły gwałtowne ruchy kierownicą. Nastąpiło zderzenie. Po kilkunastu metrach oba pojazdy zatrzymały się. Tym drugim okazał się „Trabant". Różnica masy była kolosalna. Rozpędzony „Star" uderzył z siłą pneumatycznego młota.

Dwie osoby z „Trabanta" zginęły na miejscu, zaś trzecią z wyjątkowo poważnymi obrażeniami ciała, przewieziono do pobliskiego szpitala. Kierowcę zatrzymano. Śledztwo trwa.

* * *

W odczuciu okolicznych mieszkańców ten odcinek drogi jest strefą niczyją. Nie dbają o niego ani Pabianice, ani sąsiadująca od strony Łodzi gmina Ksawerów. Oznakowanie zakrętu tonącego nocą w egipskich ciemnościach pozostawiało sporo do życzenia. Drogowskazy były nieodpowiednie i, co gorsza, niefortunnie poustawiane. Ich odczytanie sprawiało niezależnie od pory dnia czy roku poważne kłopoty. Jeszcze w tej chwili tablica z napisem „Wrocław" zasłonięta jest przez ustawioną poprzecznie tablicę z napisem: „Łódź 12". Wzbudzana przez tramwaj sygnalizacja świetlna w dniu wypadku okazała się akurat nieczynna. Poza tym, mówiąc już nawiasem, nigdzie nie była wcześniej oznajmiona. Noc, mgła albo rzęsisty deszcz czy śnieg mogły dopełnić reszty...

Jeszcze w tej chwili najbliższe światła uliczne stoją na krawędzi Pabianic albo Ksawerowa. Tramwaj jadący z Łodzi przez cały czas po prawej stronie szosy wymusza nagle podczas przekraczania jezdni należne sobie pierwszeństwo przejazdu. O jego obecności informują od kilkunastu dni świeżo ustawione, nowiutkie znaki drogowe.

Dla większości kierowców z dalekich tras była to — otwarcie mówiąc — pułapka, z której wychodziło się cało dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

* * *

— Latem — jak mamy pootwierane okna — wszystko słychać. W nocy budzimy się — **mówi L. Włodarczykowa** właścicielka zielonego drewniaczka, stojącego najbliżej zakrętu. Pisk hamulców jest szokujący. Rano, kiedy wychodzimy z mężem do pracy, na szosie oglądamy czasem czarne ślady hamowania opon, albo resztki rozbitego szkła. Na zakręcie najgorsze są wyboje. W asfalcie obok szyn tramwajowych co rusz tworzą się głębokie wyrwy. Puste i wyładowane ciężarówki skaczą tam jak pasikoniki.

Dziś zauważyłam, że dziury pozalewane są smołą. Zrobili to tramwajarze. Ekipy MPK przyjeżdżają bardzo często, przeważnie nocą. Zawsze zalewali dziury cementem, a o 3 nad ranem wszystko zaczynało się od nowa. O tej porze ruszają zwykle ciężarówki rozwożące mleko i autobusy. Świeży cement pryskał spod kół jak rozdeptane błoto.

Kiedy jest mgła ja sama boję się przechodzić przez jezdnię. W ogóle nic nie widać. Kiedy wracam z pracy razem z sąsiadką, bo pracuję tu w Pabianicach, w „chemicznych" — to obchodzimy zakręt z daleka. Idziemy zawsze obok płotu. To jest w końcu międzynarodowa trasa. Tutaj jeżdżą bez przerwy. Wypadki sypią się jak z rękawa. Albo pod samochód wpadnie rowerzysta, albo pieszy. Raz potrącili nawet idącą chodnikiem dziewczynę. Było ciemno, kierowca widocznie nie zauważył krawędzi szosy, a kiedy zobaczył — było już za późno.

Na początku lutego też był wypadek. Z Krakowa jechała „Warszawa". Prowadził ją jakiś profesor z córką i nie zorientował się na zakręcie. Jechał prosto na słup tramwajowy. W ostatniej chwili skręcił, a samochód przeskoczył rów i uderzył w naszą śliwkę. Drzewo złamało się i mąż musiał ją wykopać. Auto oczywiście zostało rozbite i musieli je tu zostawić.

* * *

Oficjalne dokumenty stwierdzają, że na skrzyżowaniu drogi E-12 z drogą lokalną w kierunku do centrum Pabianic w miejscowości Ksawerów na przestrzeni kilku ostatnich lat zaistniało szereg poważnych i tragicznych w skutkach wypadków drogowych. M.in. 31 sierpnia 1972 roku w wyniku zderzenia się dwóch pojazdów dwie osoby poniosły śmierć na miejscu, a cztery doznały ciężkich obrażeń ciała...

Jedną z głównych przyczyn wypadków był brak właściwego oznakowania tego skrzyżowania — rozwidlenia. Zamiast znaków informacyjnych „droga z pierwszeństwem przejazdu" postawiono przed drogowskazem tablicę, gdzie oznaczono przebieg trasy E-12 jako kierunek główny linią grubą, a dojazd do Pabianic, jako kierunek boczny linią cieńszą. Podano także nazwy miejscowości docelowych. Niby wszystko w porządku. Jednak brak właściwego oświetlenia tablicy i samego przejścia szosy w łuk pozostawało niedostateczne. Jak również niewłaściwie postawione znaki.

* * *

Koncepcja tymczasowego zabezpieczenia skrzyżowania — według informacji uzyskanych od przedstawicieli WZDP sprowadza się do oznakowania poziomego jezdni, oraz dodatkowego ustawienia zwiększonych tablic przeddrogowskazowych, które wytyczają główny kierunek jazdy. Na skrzyżowaniu zamierza się także rozszerzyć w obu kierunkach istniejące w Ksawerowie ograniczenie szybkości do 50 km/godz. Słowem potraktować łuk E-12 jako teren rzeczywiście niebezpieczny.

Generalne opracowanie przebudowy łuku zlecone jest fachowcom Biura Budownictwa Komunalnego w Łodzi. Ma to być rozwiązanie kompleksowe, łącznie z przebudową dotychczasowego systemu oświetlenia. Właściwie należałoby powiedzieć — budowy nowego systemu oświetlenia. Rozważana jest również koncepcja rozwiązania dwupoziomowego, z tramwajem w wykopie...

Przebudowa rozpocznie się w drugiej połowie roku bieżącego i trwać będzie przez rok przyszły. Obok docelowych rozwiązań oświetlenia, przewidziane jest także — co chyba najistotniejsze w chwili obecnej — ustawienie podświetlonych znaków drogowych.

Szkoda jedynie, że pomyślano i do roboty zabrano się dopiero teraz. Od wielu lat nie zrobiono tu nic. Dopiero teraz drogowcy zaczynają mówić o rozwiązaniach radykalnych. Wiadomo przecież, że całkowite bezpieczeństwo uwarunkowane jest w tym miejscu zupełną zmianą ukształtowania przejazdu kosztem wysokich stosunkowo nakładów. Dotychczasowe rozwiązania były i są tylko półśrodkami. Czas więc najwyższy, aby szybko usunąć zagrożenie. Cena opieszałości i niefrasobliwości była w tym przypadku szczególna: niepotrzebna śmierć ludzka.

JERZY GALĘBA

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.
Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

DOC. DR HAB. E. SMOKTUNOWICZ

OCHRONA PRAWNA ŚRODOWISKA

Stosunkowo bardzo niedawno ludzkość uświadomiła sobie ogrom niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad nią z powodu degradacji środowiska przyrodniczego. **W słynnym raporcie z 1969 r. Sekretarz Generalny ONZ stwierdził, że jeżeli proces degradacji środowiska przyrodniczego będzie kontynuowany, przyszłe życie na Ziemi może zostać zagrożone.** Znany francuski badacz głębin morskich, Jacques Cousteau, na konferencji naukowej w Waszyngtonie w listopadzie 1971 r. wyraził przekonanie, że ludzkość stoi w obliczu klęski, do której może doprowadzić dalsze zanieczyszczanie mórz i oceanów. Jeżeli w ciągu najbliższych 50 lat nie nastąpią w tym zakresie zasadnicze zmiany, życie w oceanach zgaśnie, a to z kolei spowoduje szereg nieszczęść w życiu ludzi. Już dziś istnieją całe połacie wodnych obszarów, które można nazwać biologiczną pustynią. Jeszcze dobitniej unaocznił to M. Strong, sekretarz generalny konferencji ONZ nt. problemów środowiska naturalnego człowieka, w kwietniu 1971 r. w Canberze, uznając, **że ludzkości grozi wymarcie w ciągu dwóch pokoleń, jeżeli nie zostaną przedsięwzięte odpowiednie środki przeciwko zanieczyszczaniu naturalnego środowiska człowieka.**

Środki takie są na ogół podejmowane. Czy są one jednak w stanie powstrzymać proces niszczenia środowiska przyrodniczego, skoro jego główne przyczyny: przemysł, górnictwo, motoryzacja — rozwijają się w niespotykanym dotychczas tempie? Skoro zastraszająco szybko rosną rozmiary wydalanych do atmosfery szkodliwych substancji, których np. tylko w Stanach Zjednoczonych w 1969 r. wydalono 281 mln ton, tj. około 1,4 tony na osobę. Powoduje to, m.in., stały wzrost ilości dwutlenku węgla w atmosferze ziemskiej. **Co roku przybywa go 15 mld ton i w pierwszej połowie bież. wieku ilość dwutlenku węgla w atmosferze wzrosła o 10 proc.** Proces ten się nasila i przewiduje się, że w r. 2 000 wzrost ten wyniesie 30 proc., a ok. 2 150 r. ilość dwutlenku węgla w atmosferze podwoi się. O wiele większa groźba zawisła nad wodami. Już obecnie w Europie i w Stanach Zjednoczonych pojawiły się wyraźne oznaki wyczerpywania się zasobów wodnych. Tymczasem zapotrzebowanie na wodę stale wzrasta. Przewiduje się, że w roku 2 000 zużycie wody będzie 8-krotnie większe niż obecnie, a cały odpływ wody z kontynentów będzie musiał być zużyty na rozcieńczenie ścieków. Te dwa podstawowe elementy przyrody, warunkujące życie biologiczne na Ziemi są najbardziej zagrożone. Stąd też wynika największe niebezpieczeństwo dla człowieka.

Stosunek do tego problemu dzieli ludzi na trzy grupy:

☆ katastrofistów, którzy utracili nadzieję na powstrzymanie tego procesu;

☆ niefrasobliwych, dla których dewizą jest „jakoś to będzie" i

☆ umiarkowanych optymistów, którzy wierzą w rozum człowieka, tzn. są przekonani, że nie tylko trzeba, ale i można zapobiec dalszej degradacji środowiska przyrodniczego, a nawet przywrócić je do stanu pożądanego, chociaż jest to zadanie bardzo trudne.

PRZYCZYNY TRUDNOŚCI

Główna przyczyna tych trudności tkwi w tym, że ochrona środowiska nie może hamować rozwoju gospodarczego, z którego ludzkość nie może zrezygnować, gdyż jest on niezbędny dla zaspokajania stale rosnących potrzeb wciąż powiększającej się liczby ludzi na Ziemi. Co więcej, konieczność przeznaczania na tę ochronę niemałych środków wymaga intensyfikacji gospodarki, gdyż w naszym wypadku jest to jedyny sposób ich uzyskania. **Zatem ochrona środowiska musi być traktowana jako element rozwoju gospodarczego, w żadnym zaś razie jako akcja oderwana od działalności gospodarczej.** Stąd wynika szereg zadań, przede wszystkim konieczność poszukiwania nowych technologii produkcji i różnych rozwiązań technicznych, ograniczających rozmiary zanieczyszczenia środowiska oraz podejmowania szeregu innych środków służących temu celowi, np. w dziedzinie gospodarki przestrzennej, tworzenia stref ochronnych itp.

Druga przyczyna ma charakter subiektywny. Wiadomo, że wszelkimi procesami społecznymi, a więc i gospodarczymi, które nas tu najbardziej interesują, kierują ludzie. **Ci zaś zajmują często różne postawy, np. w pogoni za efektami gospodarczymi, ocenianymi tylko z punktu widzenia jednego przedsiębiorstwa, lub dla ułatwienia swojej roli, mogą nie doceniać zadań ochrony środowiska.**

Fot. E. Kudaj

Niestety, często mają miejsce np. wypadki, że w zakładzie zaopatrzonym w dobre elektrolity do wychwytywania pyłów, urządzenia te nie działają z powodu niewłaściwej obsługi lub są celowo wyłączane, aby zmniejszyć kierownictwu zakładu kłopoty związane z dalszym wykorzystywaniem pyłów. Zdarzają się wypadki jeszcze gorsze. Oto np. w jednym z nowo zbudowanych na Śląsku zakładów przemysłowych, zaopatrzonym w oczyszczalnię ścieków, dyrektor tego zakładu kazał ułożyć poza projektem techniczno-ekonomicznym ukryty w ziemi przewód do odprowadzania ścieków bezpośrednio do Wisły z pominięciem oczyszczalni. I z przewodu tego zakład korzystał aż do czasu wykrycia tego procederu, odprowadzając część swoich nieoczyszczonych ścieków bezpośrednio do rzeki.

SZEROKI FRONT

Przełamywanie tych i innych trudności, piętrzących się na drodze ochrony środowiska, wymaga od wszystkich zainteresowanych tą ochroną, tzn. właściwie całego społeczeństwa, aktywnej postawy. Chodzi o wytworzenie nacisku społecznego na organy i instytucje powołane do ochrony środowiska i udzielenie im zarazem wsparcia społecznego, aby zadania te wykonywały jak najpełniej. Chodzi też o wytworzenie klimatu potępienia działalności godzącej w ochronę środowiska, **jeżeli jest ona równocześnie naruszeniem prawa lub nienależytym wykonywaniem obowiązków.**

Taka postawa społeczeństwa byłaby najpewniejszą podstawą dla umiarkowanego optymizmu w zakresie ochrony środowiska przyrodniczego. Warunkiem zaś jej wytworzenia jest powszechna świadomość nie tylko co do przyczyn i skutków zanieczyszczenia środowiska, ale i co do prawa regulującego jego ochronę gdyż jest ono podstawowym jej narzędziem. Ten wzgląd mając na uwadze, Redakcja postanowiła spopularyzować przepisy prawa, regulujące tę problematykę w naszym kraju. Artykuł niniejszy otwiera szereg opracowań jej poświęconych, które będą publikowane na łamach „Odgłosów". Zaczynamy od przedstawienia najbardziej ogólnego obrazu tych przepisów.

ROZPROSZENIE PRAWA

Zadania w zakresie ochrony środowiska przyrodniczego określane przepisami prawa narastały stopniowo, w miarę uświadamiania sobie przez właściwe organy państwowe realnego zagrożenia jego poszczególnych elementów i konieczności przeciwstawienia się temu. Najwcześniej powstało zagrożenie dla rzadkich gatunków fauny i flory. Świadomość potrzeby zachowania tych gatunków ze względów naukowych i innych doprowadziła do wytworzenia ochrony konserwatorskiej, poszerzonej następnie o restytuowanie przedmiotów poddanych ochronie oraz nakaz właściwego użytkowania zarówno zasobów, jak i tworów przyrody, przez które rozumie się pojedyncze wytwory przyrody żywej i nieożywionej oraz ich zespoły poddawane ochronie ze względów innych niż gospodarcze. Ochronę tworów przyrody reguluje ustawa z 1949 r., ustanawiając 4 formy prawne tej ochrony: pomniki przyrody, rezerwaty przyrody, parki narodowe, ochrona gatunkowa roślin i zwierząt.

Gospodarowanie zaś zasobami przyrody i ich ochronę reguluje szereg ustaw wraz z aktami wykonawczymi do nich. I tak: prawo górnicze z 1953 r., znowelizowane w r. 1960, w odniesieniu do kopalin i powierzchni ziemi, która stara się chronić przed szkodami górniczymi; ustawa z 1958 r. o gospodarowaniu terenami torfowymi; prawo geologiczne z 1960 r. regulujące prowadzenie prac związanych z poszukiwaniem kopalin i naprawianie wynikających stąd szkód; ustawa z 1971 r. o ochronie gruntów rolnych i leśnych oraz rekultywacji gruntów; prawo wodne z 1962 r.; ustawa z 1966 r. o ochronie powietrza atmosferycznego przed zanieczyszczeniem. Ponadto trzeba tu wymienić prawo leśne, na które składają się dwie ustawy: z 1949 r. odnośnie lasów państwowych i z 1973 r. dotycząca lasów niepaństwowych. Prawo rybackie składa się również z dwóch grup przepisów: ustawy z 1932 r., która reguluje rybołówstwo śródlądowe i ustawy z 1963 r. o rybołówstwie morskim. Prawo łowieckie, które ma niemałe znaczenie dla ochrony dzikich zwierząt, reguluje ustawa z 1959 r., znowelizowana w 1973 r. Nadto ogromną rolę w ochronie środowiska odgrywa ustawa z 1961 r. o planowaniu przestrzennym oraz prawo budowlane, pochodzące również z tego roku.

Fot. Archiwum

Jak widać, nie mamy kodeksu, który by kompleksowo normował ochronę środowiska przyrodniczego, lecz przepisy służące temu celowi rozrzucone są w wielu ustawach, co z pewnością nie ułatwia osiągania tego celu. **Poza tym brak jest dotychczas ustawy o ochronie przed hałasem. Trwają obecnie prace nad przygotowaniem projektu takiej ustawy.** Podjęto też zadanie zaprojektowania kodeksu ochrony środowiska przyrodniczego.

ROZPROSZENIE ZADAŃ I KOMPETENCJI

Istniejącemu obecnie rozproszeniu przepisów prawa odpowiada też rozproszenie kompetencji organów państwowych w zakresie ochrony środowiska. W 1972 r. został utworzony resort gospodarki przestrzennej i ochrony środowiska. Wbrew jednak logicznemu wnioskowi, że w ręku organów tego resortu powinny być złożone wszystkie zadania i kompetencje dotyczące ochrony środowiska przyrodniczego, są one nadal rozdzielone pomiędzy organy wielu resortów. **Znaczy to, że i odpowiedzialność za stan środowiska przyrodniczego jest rozproszona pomiędzy te organy.** I tak, ochrona przyrody w tradycyjnym, ograniczonym zakresie należy do organów resortu leśnictwa i przemysłu drzewnego, ochrona gruntów rolnych i leśnych — do organów tegoż resortu oraz organów resortu rolnictwa. Zapobieganiem i naprawianiem szkód górniczych zajmuje się administracja górnictwa, tj. przede wszystkim komisje do spraw szkód górniczych i urzędy górnicze. Zadania najtrudniejsze, bo dotyczące ochrony wód przed zanieczyszczeniem, zostały rozdzielone pomiędzy organy trzech resortów: rolnictwa, gospodarki przestrzennej i ochrony środowiska oraz żeglugi. Sytuacja ta budzi najwięcej wątpliwości, nie można bowiem wskazać resortu odpowiedzialnego za stan naszych wód.*)

Ochroną powietrza atmosferycznego zajmują się organy resortu gospodarki przestrzennej i ochrony środowiska oraz Państwowej Inspekcji Sanitarnej.

INTEGROWANIE FUNKCJI OCHRONNYCH

Sprawowanie funkcji ochronnych przez organy podporządkowane różnym naczelnym organom administracji państwowej stwarza konieczność koordynacji ich działalności, i to na różnych szczeblach: centralnym i terenowych. Odczuwa się też coraz mocniej potrzebę integrowania funkcji ochronnych wobec środowiska przyrodniczego. Proces taki niedawno się rozpoczął i można już odnotować pewne osiągnięcia na tej drodze. **Oto w 1970 r. został powołany Polski Komitet Ochrony Środowiska,** którego zadaniem jest koordynacja działalności wszystkich resortów i instytucji, zajmujących się ochroną naturalnego środowiska człowieka, czuwanie nad jego poprawą oraz współpraca z organizacjami międzynarodowymi w tej dziedzinie. Przewodniczącym Komitetu jest wiceprezes Rady Ministrów.

W tymże roku został utworzony **Komitet Naukowy „Człowiek i Środowisko" Polskiej Akademii Nauk** z ośmioma komisjami problemowymi. Do jego zadań należy przede wszystkim inicjowanie i koordynowanie badań o charakterze kompleksowym oraz opracowywanie opinii naukowych w sprawach ochrony środowiska.

Także w terenie zaczęły powstawać wojewódzkie komitety ochrony środowiska jako organy koordynujące przedsięwzięcia w tej dziedzinie. Przewodniczącymi ich są przeważnie wicewojewodowie.

Na odnotowanie zasługuje też powołanie do życia, nawet przy pomocy ONZ, Centrum Ochrony Środowiska w Katowicach, którego głównym zadaniem jest wypracowywanie optymalnych modeli ochrony wód i powietrza atmosferycznego przed zanieczyszczeniem.

Nie można też pominąć znaczenia koordynacji międzyresortowej, sprawowanej w pewnym stopniu przez Ministra Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Środowiska, z którego inicjatywy zostały opracowane kompleksowe, wieloletnie programy ochrony środowiska.

W wykonaniu tych programów niezbędny jest jednak udział całego społeczeństwa.

*) Zainteresowanych tą problematyką odsyłam do mego artykułu: „Ochrona wód przed zanieczyszczeniem" (Niektóre zagadnienia prawne), zamieszczonym w miesięczniku „Państwo i Prawo", Nr 7/73, str. 61 i następne.

KORNEL UJEJSKI

Kornel Ujejski — ostatni romantyk, przyszedł na świat w Beremianach na Podolu 12 września 1823 roku. Ten z rzadka dzisiaj przypominany „Jeremi polski", cieszył się za życia ogromną sławą „poety rycerskiego". Określenie to uzasadnił sam prof. Józef Tretiak pisząc, że była ona rycerska zarówno z ducha, jak i formy. **„Jego rymy męskie tną jak miecze, jego strofy krzyczą jak trąby, dzwonią jak surmy bojowe, a uczucia przelewające się w tych strofach, to są uczucia, które rozpierają pierś rycerską w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa".**

Istotnie, autor „Skarg Jeremiego" był w twardych, zdawałoby się beznadziejnych dniach niewoli, piewcą najszlachetniejszych tonów brzmiących w polskiej tradycji rycerskiej od czasów zwycięskiego Grunwaldu, aż po nuty bohaterskie tych powstańców, którzy ginęli pod sztandarami z hasłami wolnościowymi w 1831 roku.

Ujejski nigdy nie prezentował bezkrytycznego uwielbienia dla tradycji szlacheckiej, której spróchniałe składniki wywoływały w nim wstręt i oburzenie. Z tego powodu nie wybaczył **Wincentemu Polowi**, dawnemu przyjacielowi, gdy ten w gawędach próbował rozpłomieniać ciemne strony tej tradycji.

W swojej poetyckiej drodze autor „Skarg Jeremiego" szedł samodzielnie, chociaż chętnie pławił się w promieniach słońca wielkich romantyków. Ujrzał przecież światło dnia w tym czasie, gdy **Adam Mickiewicz** opublikował drugi tomik poezji oraz rycerską „Grażynę", torując zwycięski przełom romantyzmowi w polskiej literaturze i kulturze.

Chętnie też nawiązywał do tradycji swoich trzech wielkich poprzedników, ale chociaż objawiał niechęć do wykraczania poza zakres ich myśli, to jednak jego **„lutnia ćwiczona na mistrzach"**, dźwięczała oryginalnie. W ten sposób jego talent skupiał na sobie refleksy życia narodowego, lecz nigdy nie naśladował cudzych głosów. Jak słusznie sądził **Franciszek Rawita**, nasz poeta **„myślał i cierpiał według wrażeń własnego serca, patrzył na wszystko własnym okiem... nie potrzebował więc zapożyczać się u nikogo; szedł drogą wspólną z innymi, ale własnym śladem."**

Najszczytniejszy pomnik wystawił sobie poeta słynnymi psalmodiami. Ten gatunek literacki zyskał w polskim piśmiennictwie szczególną popularność od czasów **Jana Kochanowskiego.** Na podobną kanwę twórczości poetyckiej transponowały swoje pióra liczne indywidualności literackie w XVI i XVII stuleciu, a w epoce romantycznej **Wincenty Pol, Stefan Witwicki** czy **Apollo Korzeniowski.** Jednakże ci ostatni nie dorównywali Ujejskiemu w tonach patriarchalnej prostoty biblijnej, ani w „jehowiczne" potędze wymowy związanej z boleścią i tragedią dziejową. Z tych łez, jak wspominał przed laty **Antoni Bądzkiewicz**, wyrósł **„taki świeży, a zawsze wonny bukiet poetyczny, który przetrwa niejedno pokolenie, niejeden okres poglądów estetycznych i będzie zawsze żywą krynicą poetyczną, z której dalsze pokolenia czerpać będą świeże zdroje piękności".**

Wprawdzie Ujejski potrafił wyczarować nie tylko z przędziwa fantazji, ale i z szarej, pospolitej barwy codziennego życia prawdziwe promienie światła, toteż zarówno przyroda jak ludzie wynurzali się dzięki jego piórom z blasków prawdziwej poezji, takiej, jakiej kolorów dostarczał romantyzm swojej pierwszej doby. I chociaż **Józef Tretiak** sądził, że plon jego poezji, aczkolwiek szczupły, jest czysty i mocny, więc czas go nie zgasi, ale przeciwnie, z wiekiem nabierze jeszcze większego blasku i mocy, możemy po latach stwierdzić, że z pieśni „polskiego Jeremiego" ulecia-ło wiele.

Z całego dorobku pisarskiego Ujejskiego zasługują na ocalenie od niepamięci przede wszystkim **„Skargi Jeremiego", „Melodie biblijne", „Tłumaczenia z Szopena i Beethovena"**, stanowiąc rdzeń jego spuścizny twórczej. Mniej udane są zwłaszcza utwory dramatyczne: **„Rozbitki", „Smok siarczysty" i „Ostatni Buczacey".**

W myśl trafnej krytyki **Tadeusza Piniego** prace dramatyczne raczej zasługują na nazwę dialogów, aniżeli dramatów. Brakuje w nich życia, solidnej podbudowy psychologicznej przy charakterystyce, czy wypowiedziach osób, zawodzi również motywacja czynów.

Urodzony liryk także z trudem radził sobie grając na strunach poezji epickiej. Stąd też mniej udały się poematy w rodzaju **„Podróży przerwanej", „Konfederata", „Po latach osiemnastu", „Pług i szabla"**, czy **„Ptasie gniazdko".**

Na harfach czystej liryki wyśpiewał natomiast z wielkim powodzeniem wiersze pochodzące z drugiego toru jego aktywności twórczej i społecznej, a mianowicie poezji poświęconej kwestii włościańskiej. Ujejski od kołyski związany najściślejszymi więzami z polską wsią, rozumiał dobrze dolę chłopską, którą interesował się przez całe życie. Nie wyobrażał sobie bowiem walki o wolność ojczyzny bez udziału szerokich mas chłopskich. Pod koniec życia przyznał nawet ludowi rolę naczelnej siły w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne. A przy tym ostrza jego częstych wystąpień publicystycznych kierowały się w stronę konserwatywnego stronnictwa krakowskich „stańczyków", uderzając w ugodowe tendencje grona galicyjskich polityków, które zerwało ze zbrojną tradycją walki o wolność narodu.

Aktywność polityczna Ujejskiego manifestowała uczciwość i wrażliwość sumienia patriotycznego, aczkolwiek brakowało mu konsekwencji w urzeczywistnianiu swoich postulatów. Wprawdzie rozumiał, że bez czynnego udziału ludu nie do pomyślenia będzie walka narodowo-wyzwoleńcza, ale nie umiał zrezygnować z marzeń o harmonii wszystkich stanów.

„Naród — głosił — to wielka rodzina. W nim, jak w rodzinie zdarzają się swary i nieporozumienia. Utrzeć je co rychlej należy ... Nam, nie mającym spokojnego, państwowego bytu, każdy nierozwiązany zatarg wewnętrzny, staje się chorobą śmiertelną".

Jednakże praktyka polityczna autora „Skarg Jeremiego", wypełniona przecież tak pięknymi kartami, jak udział w konspiracji 1846 roku i 1863, nie jest najważniejsza przy ocenie poety i ideologa.

Jego poezja demonstrująca cierpienie i prześladowania narodowe, oddająca hołd bohaterom i męczennikom za sprawę ojczyzny odegrała dużą rolę w życiu narodu. Pomimo zdarzających się niekonsekwencji, częściowego odwoływania się do nadziemskich autorytetów i nadawaniu narodowej martyrologii wymiarów metafizycznych, mobilizowała do walki o godność i wolność narodową, uczyła przezwyciężać ideowy marazm.

Niekłamana miłość narodu u Ujejskiego, zdecydowanie antykapitulancka postawa, a także z biegiem lat nasilające się ludowe tętno jego twórczości, świeżość języka i stylu, zadecydowały, że spora partia trudu poetyckiego z **„Maratonem"** i **„Skargami Jeremiego"** na czele, zachowały wciąż wartości artystyczne i ideowe.

Nieprzypadkowo entuzjazmował się poezjami Ujejskiego **Stefan Żeromski.**

Foto. Archiwum

Karty jego „Dzienników" pełne są uwielbienia dla twórcy **„Skarg Jeremiego"**, jako znakomitego poety opiewającego z żarem walkę narodowo-wyzwoleńczą. Z tego powodu tak zachwycał się jego **„Maratonem".**

Przykład ten jest wzruszającym dowodem ciągłości ogniw narodowej tradycji, spajającej w jeden nierozerwalny łańcuch walkę o postęp społeczny z walką o niepodległość narodową.

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

GEORGES SIMENON

WIĘZIENIE

10

Tłumaczył: R. WYSOCKI

Odwrócił się, aby z kolei przyjrzeć się im. Sami idioci. W rodzaju Blancheta, tylko kilka pięter niżej. Pokazał im język, następnie przez długi czas szukał samochodu. Oczywiście, czerwonego. Żółty należał do Kocura. Był w garażu. Żona przez długi czas nie będzie go potrzebować.

To śmieszne, prawie nieprzyzwoite, wyobrazić sobie żonę i szwagierkę jako dzieci, następnie panienki. Którędy przejechał na drugą stronę Sekwany? Przypomniał sobie jakiś most, księżyc wyglądający zza chmur, jego odblask w wodzie.

Czuł, że musi odszukać kumpli. Znał wszystkie miejsca, gdzie miał szanse ich znaleźć. Pierwszych lepszych. Czyż nie był człowiekiem, który ma najwięcej kumpli na świecie?

Nie powinien był się żenić. Albo człowiek decyduje się znaleźć sobie żonę, albo też...

Nikogo?

— Nie widać ich dziś panie Alain. Podwójna?

— Jak uważasz, mój króliku?

Czemu nie? Nie miał nic innego do roboty. W redakcji nikomu nie jest potrzebny. Borys zajął się wszystkim. Dziwny typ, ten Borys. Był otoczony samymi dziwnymi typami.

— Cześć, Paweł.

— Dobranoc, panie Alain.

Musiało to być „Chez Germaine", przy ulicy Ponthieu. Potem...

Połknął trzecią aspirynę, wyczyścił zęby, popłukał gardło, gdyż niesmak dokuczał mu w ustach. Przemył twarz zimną wodą, przeczesał włosy. Wyglądał fatalnie. Czuł wstręt do samego siebie.

Chyba zatrzymał się gdzie indziej, ale gdzie? Tej nocy wszyscy gdzieś się zapodzieli. Ani jednego z całej paczki. Co to mogło znaczyć? Zrobili tak naumyślnie, żeby się z nim nie spotkać? Bali się pokazać w jego towarzystwie?

Wrócił do sypialni, podniósł z dywanu majteczki i biustonosz, które położył na krześle, uniósł kołdrę.

Odkrył twarz, której nie znał, twarz bardzo młodą, która we śnie wyglądała niewinnie. Usta były wysunięte naprzód, grymas jak u małej dziewczynki.

Kto to był? Co tu zaszło?

Chwiejąc się na nogach, zastanawiał się, czy położyć się jeszcze do łóżka i spać. Czuł, że krew uderza mu do oczu, było to wrażenie nieprzyjemne.

Wrócił do studia, gdzie sprzątaczka zaczynała robić porządki. W miejsce sukienki włożyła nylonowy fartuch na tyle przezroczysty, że widać było czarne podwiązki.

— Jak pan się nazywa?

— Mina. Mówiłam już panu.

Wciąż powstrzymywała się od śmiechu. Pewnie miała taką manię.

— No dobrze. Mina proszę mi zrobić bardzo mocnej kawy.

— Przypuszczam, że przyda się to panu.

Nie był urażony. Przyglądał się, jak idzie do kuchenki, kręcąc kuperkiem i pomyślał, że nie dziś to jutro prześpi się z nią. Jeszcze nie spał ze sprzątaczką. Wszystkie przekroczyły już granice wieku i jak pamiętał, miały twarze twarde i tragiczne. Kobiety, które spotykały nieszczęścia i które miały pretensje do całego świata.

Żółta smuga na niebie poszerzyła się. Żółć ta stała się jaśniejsza. Nie padało. Widział dalej, niż w dnie poprzednie, rysowały się nawet wieże katedry Notre Dame.

Któż to miał do niego telefonować? Była to jedna z myśli, które ocalały. Ktoś miał do niego telefonować. Było to bardzo ważne. Przysięgał, że będzie w domu.

Zapach kawy, tak znany, dotarł aż tutaj. Mina z pewnością nie wiedziała, że pije kawę w dużej niebieskiej filiżance, którą z takim trudem kupił, w filiżance, w której mieści się trzy razy tyle, co w zwyczajnej.

Poszedł do kuchenki. Po jej oczach poznał, że myślała, iż przychodzi w innym celu. Nie była przestraszona. Czekała, odwrócona plecami.

Otworzył szafkę ścienną.

— To moja filiżanka, ta, której używam co dzień rano.

— Dobrze, proszę pana.

Dlaczego wciąż wstrzymuje się, żeby nie wybuchnąć śmiechem? Co jej naopowiadano na jego temat. Ktoś musiał jej coś naopowiadać. W ostatnich dniach tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi mówiło o nim.

— Zaraz panu przyniosę.

Weszła, kiedy gasił papierosa. Tytoń miał zły smak.

— Niewiele pan spał dziś w nocy!

Zrobił znak, że nie.

— Przypuszczam, że ta osóbka jeszcze śpi?

— Skąd pani wie, że w moim pokoju ktoś jest?

Podeszła do rogu pokoju i podniosła pomarańczowy pantofelek z satyny, na bardzo wysokim i bardzo ostrym obcasie.

— Muszą być chyba takie dwa, nie?

— To nawet prawdopodobne.

Zaśmiała się.

— Ale ubaw.

— Co ubaw?

— Nic. Wszystko. Pan.

Sparzył się, próbując kawę.

— Ile pani ma lat?

— Dwadzieścia dwa.

— Dawno pani w Paryżu?

— Dopiero sześć miesięcy.

Nie śmiał pytać, co robiła przez te sześć miesięcy. Zdziwiło go, że wybrała sobie zajęcie sprzątaczki.

— To prawda, że pan mnie bierze tylko na pół dnia?

Wzruszył ramionami.

— Wszystko mi jedno. A pani?

— Wolałabym miejsce na cały dzień.

— Proszę bardzo.

— Zapłaci pan podwójnie?

— Jak pani chce.

Wypił wreszcie kawę, małymi łykami. Pierwszy o mało nie zwrócił, potem żołądek się przyzwyczaił.

— A dama nie będzie miała pretensji?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Obudzi ją pan?

— Może. Może nawet lepiej to zrobić.

— Na wszelki wypadek zaparzę jeszcze kawy. Wystarczy tylko mnie zawołać.

Znowu patrzył, jak się oddalała, kołysząc się w biodrach. Wreszcie pchnął drzwi, zamknął je za sobą, podszedł do łóżka i uniósł parę centymetrów prześcieradło.

Otwarła jedno oko, niebiesko-zielonkawe, przesunęła nim po jego sylwetce w górę od stóp do głów. Nie ruszając się, mętnym głosem mruknęła:

— Hallo, Alain.

Ona pamiętała. Jeżeli nawet była pijana, to nie do tego stopnia, co on.

— Która godzina?

— Nie wiem. To nieważne.

Teraz już oboje oczu było otwarte. Odrzuciła prześcieradło, odkryła dwie jędrne piersi, których różowe czubki ledwie były uformowane.

— Jak się czujesz? — zapytała.

— Źle!

— Sam sobie jesteś winien.

Mówiła z lekkim akcentem angielskim, więc spytał:

— Jesteś Angielką?

— Ze strony matki.

— Jak się nazywasz?

— Nie pamiętasz mojego imienia? Bessie...

— Gdzieśmy się spotkali?

Usiadł na skraju łóżka.

— Nie ma przypadkiem kawy w tym domu?

Z wielkim trudem wstał, przeszedł do studio, do kuchenki.

— Mina, miała pani rację. Ona chce kawy.

— Zaraz przyniosę. Może rogalików? Stróżka mówiła, żeby przynieść.

— Jak pani chce.

Wrócił do pokoju. Bessie nie było w rozgrzebanym łóżku. Zobaczył, że wraca z łazienki, zupełnie nago i kładzie się do łóżka, przykrywszy się tylko do kolan.

— Czyja to szczoteczka do zębów po lewej stronie lustra?

— Jeżeli ta z zieloną rączką, to mojej żony.

— Tej, która jest...

Zapukano do drzwi. Bessie nie zrobiła najmniejszego ruchu. Mina weszła, z tacą w ręku.

— Gdzie postawić?

— Niech mi pani da.

Obie przyglądały się sobie z ciekawością, bez żenady.

Kiedy sprzątaczka wyszła, Bessie spytała:

— Długo tu pracuje?

— Od dziś rana. Zobaczyłem ją po raz pierwszy, kiedy poszedłem otworzyć drzwi.

Chciwie piła kawę.

— O coś ty pytał?

— Gdzieśmy się spotkali?

— W „Grelot".

— Przy ulicy Notre-Dame-de-Lorette? To ciekawe. Nigdy tam nie bywam.

— Szukałeś kogoś.

— Kogo?

— Nie mówiłeś. Powtarzałeś, że to kapitalnie ważne, żeby go znaleźć.

— Jesteś fordanserką?

— Tancerką. Nie byłam sama.

— Kto ci towarzyszył?

— Dwóch twoich przyjaciół. Jeden miał na imię Bob..

— Demarie?

— Zdaje się, że tak. Pisarz.

Był to Demarie, który dwa lata temu otrzymał nagrodę Ranaudot i który pracował dla „Ty".

— A drugi?

— Czekaj. Fotograf, słabowity i smutny. Ma trochę przekrzywioną głowę.

— Julian Bour.

— Możliwe.

— W wymiętoszonym ubraniu?

— To on.

Bour miał zawsze wymiętoszone ubranie, a ponieważ przekrzywiał głowę na bok, zdawało się, że twarz ma na bakier.

Komiczny facet. To on robił dla tygodnika najlepsze zdjęcia. Nie agresywne nagości, jakie zamieszczały inne pisma. „Ty" było pomyślane w ten sposób, że miało być blisko człowieka. Dziewczęta, kobiety powinny tu znaleźć siebie. Na przykład, dziewczyna śpiąca, widać odkrytą tylko jedną pierś, pierś, która w jakiś sposób nabiera walorów ludzkich. Taką właśnie gadkę serwował Alain swoim współpracownikom.

— Teksty powinny wyglądać, jak listy, pisane przez którąkolwiek z naszych czytelniczek.

Bez sofistycznych ozdóbek. Pokój taki, jak większość pokoi. Precz z tważrami zbyt umalowanymi, precz z długimi rzęsami, purpurowymi ustami na pół otwartymi i ukazującymi lśniące zęby.

Na ten właśnie pomysł wpadł któregoś popołudnia, przyglądając się jak się ubiera szwagierka. Wówczas pisywał artykuły o światku teatru i kabaretów. Spłodził też parę piosenek.

Tytuł zjawił się przed nim od razu.

— Ty... — mruknął półgłosem.

— Co, ja? Czymże ja się różnię od innych?

Właśnie, była taka, jak inne.

— Mam pomysł. Nowy tygodnik. Opowiem ci o tym następnym razem.

Dalszy ciąg nastąpi

ERNA GRUHN i GENERAŁOWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

Najbardziej zadziwieni wiadomością o porzucaniu przez von Blomberga stanu wdowca i planowanym ślubie z poślednią urzędniczką byli generałowie z Bendlerstrasse. Dla ratowania honoru niebieskiej krwi zdecydowali się wystąpić przeciwko głównodowodzącemu Wehrmachtu. Z powodu „kompromitującego wybryku" postanowiono zmusić Blomberga do dymisji. Pozostał jedynie problem następcy. Rozgorzały spory.

Pytanie: „kto będzie nowym ministrem wojny" nie pozwalało spać przede wszystkim Hermannowi Goeringowi. Dowódca sił lotniczych marzył o zajęciu ministerialnego fotela. Wiedział jednak, że Blomberg jest w łaskach u Adolfa Hitlera, a sam ma niewielkie szanse. Sytuacja zmieniła się, gdy Blomberg wyznał w zaufaniu Goeringowi, że jego przyszła żona ma za sobą „pewną przeszłość", a także młodego, zapalczywego adoratora w lotniczym mundurze, co zmusza do szybkiego działania.

Kłopotliwy rywal musiał na rozkaz Goeringa powędrować do Ameryki Południowej i w ten sposób otworzyła się na trwałe furtka do serca uwielbianej panny Erny Gruhn dla jej podstarzałego, ale dziarskiego jeszcze kochanka w generalskim szynelu.

ŚWIADKOWIE

Droga do urzędu stanu cywilnego była teraz zabarykadowana jedynie przez połączonych zmową oficerów z ministerstwa wojny. Goering znalazł i na to radę. Namówił Hitlera, aby obaj wystąpili w charakterze świadków na ślubie, manifestując przed całym światem, po pierwsze — „przezwyciężenie" różnic klasowych, a po drugie — przełamując w ten sposób opór generałów. Byłego kaprala od dawna denerwowała pycha korpusu oficerskiego, chętnie więc zgodził się na pokrzyżowanie generalskich planów.

12 stycznia 1938 roku generalfeldmarschal Werner von Blomberg i stenotypistyka Erna Gruhn zawarli przed urzędnikiem stanu cywilnego związek małżeński w asyście Adolfa Hitlera i Hermanna Goeringa. Generałowie z ministerstwa wojny pienili się ze złości. Zraniono honor korpusu oficerskiego, a co gorsze planowany upadek Blomberga stał się już tylko niemożliwym do realizacji marzeniem. Brunatni wodzowie partii odnieśli zwycięstwo nad błękitnokrwistymi arystokratami w mundurach.

ZIĘĆ NA WIDOWNI

Na wieść o ślubie ministra wojny urzędnicy z berlińskiej komendy policji obyczajowej przypomnieli sobie, że dysponują pokaźnym plikiem akt w sprawie byłej panny Erny Gruhn, z których, o wielki wstydzie, wynika, iż świeżo poślubiona przez marszałka polnego dama była wielokrotnie karana, a z racji lekkich obyczajów jest pod stałym nadzorem.

Prezydent policji, graf Helldorf popadł w wielki kłopot. Czy miał popsuć swoje dobre stosunki z von Blombergiem i dodatkowo wywołać niezadowolenie Hitlera i Goeringa? Czy miał stanąć po stronie płonących pragnieniem zemsty generałów?

Myślał, myślał, aż wymyślił. Postanowił przekazać akta z napisem „Erna Gruhn" na teczce, zięciowi von Blomberga, ówczesnemu szefowi tzw. urzędu Wehrmachtu, Wilhelmowi Keitlowi. Z nadzieją, że zięć zniszczy kompromitujące dokumenty.

Keitel wybrał własną karierę i przekazał akta w ręce Goeringa. Dowódca lotnictwa udał się natychmiast do Hitlera. Pełen udanego oburzenia z racji „hańby, na jaką narażono Fuehrera i Kancelarię Rzeszy", zaproponował zwolnić natychmiast Blomberga, a mianować ministrem wojny jego — Goeringa. Tuż po Goeringu z taką samą propozycją przybył głównodowodzący armią lądową, generał-pułkownik von Fritsch.

PISTOLET, ŁÓŻKO CZY STRYCZEK?

Hitler przestraszył się wielkiego skandalu i nakazał natychmiastowe zwolnienie Blomberga. Goering i oficerowie z ministerstwa wojny żądali dodatkowo unieważnienia małżeństwa. Blomberg odmówił i wybrał roczną banicję do Włoch.

W okresie rzymskich miodowych miesięcy były minister wojny nie zgodził się nawet na przyjęcie swego adiutanta. Dobrze zrobił, gdyż adiutant miał z ramienia kliki oficerskiej zaproponować marszałkowi wybór między rozwodem a samobójstwem.

W latach II wojny światowej Blomberg żył wraz z żoną w Bawarii. Umarł w roku 1946, w łóżku, w odróżnieniu od zięcia, von Keitla, który wystąpił jeszcze na procesie w Norymberdze, a później skończył na szubienicy. Przed tym losem Keitla nie uchroniła nieskazitelna przeszłość żony.

ZAMIENIŁ STRYJEK...

Wraz z upadkiem Blomberga spór o stanowisko ministra wojny rozgorzał z nową siłą. Generałowie z Bendlerstrasse rekomendowali generała von Fritscha. Propozycja spotkała się z zaciekłym oporem Goeringa i Himmlera. Obaj mieli apetyty na szefowanie ministerstwu wojny, ale okresowo zawarli sojusz przeciwko Fritschowi. Himmler zresztą maczał palce także przy organizowaniu porażki Blomberga. Być może to on inspirował telefony berlińskich „panienek" do generałów.

W archiwach wszechmocnego szefa urzędu bezpieczeństwa III Rzeszy znajdowała się dokumentacja z nadrukiem „Generaloberst von Fritsch". Himmler przekazał ją Hitlerowi już w roku 1936, ale wówczas nie był on zainteresowany „wypadkiem Fritscha" i nakazał zniszczyć protokóły. Zanim jednak gestapo spaliło oryginały, sporządzono na wszelki wypadek kopie. Himmler zapewnił sobie poza tym świadka miłosnych zainteresowań generała.

Tym razem Hitler postanowił wykorzystać intrygę dla umocnienia swojej władzy. Wezwał Fritscha na audiencję. Generał został skonfrontowany ze świadkiem i wytrącony z równowagi. Twarz poszarzała mu do koloru popiołu i zdołał wykrztusić zaledwie kilka słów bez związku.

Hitler nakazał urlopować dowódcę wojsk lądowych na czas nieokreślony.

W ten sposób odpadł kandydat korpusu oficerskiego na stanowisko ministra wojny. Generałowie z Bendlerstrasse znów byli wściekli. Rozpoczął się nowy etap „wojny podjazdowej". Jej pierwszym celem było zrehabilitowanie von Fritscha. Tymczasem Goering widział się już bliskim spełnienia marzeń. Szykował rozgrywkę ze swoim dotychczasowym sprzymierzeńcem, Himmlerem. Ale 4 marca 1938 roku Hitler zdecydował się sam zebrać owoce afery i przejął bezpośrednie dowództwo nad Wehrmachtem. Mianował tylko Keitla szefem Oberkommando der Wehrmacht z uprawnieniami ministra wojny.

ZBRATANIE

W dwa miesiące później, w marcu 1938 roku, zmieniła się sytuacja. Aneksja Austrii wzmocniła popularność Hitlera w korpusie oficerskim, który zmienił znacznie zdanie o byłym kapralu. Z drugiej strony kasta oficerów stała się nieodzowna dla partii faszystowskiej, planującej i przygotowującej podbój Europy. A w kołach wielkich potentatów finansowych i przemysłowych od dawna uważano, że wszelkie rozgrywki między poszczególnymi siłami „wielkiej Rzeszy" mogą tylko zaszkodzić sprawie.

Aby zaspokoić ambicje Goeringa mianowano go generalfeldmarszałkiem. Wtedy dowódca sił lotniczych rozpoczął energiczne działanie w celu ostudzenia rozgorączkowanych głów. Sąd honorowy pod jego przewodnictwem uwolnił Fritscha z zarzutów. Obciążający świadek został zlikwidowany na wieki wieków. Hitler złożył generałowi serdeczne gratulacje.

Nowo mianowany dowódca sił lądowych von Brauchitsch bezustannie musiał odwodzić przeniesionego z racji jakoby nadszarpniętego stanu zdrowia w stan spoczynku Fritscha od wyzwania Himmlera na pojedynek. Kiedy jednak w półtora roku później von Fritsch wziął udział w napaści na Polskę i poległ, urządzono mu wspaniały pogrzeb na koszt państwa. Jego kompani: von Rundstedt, von Bock, von Leeb, von Kuechler, von Kluge, von Weichs, von Manstein i von Witzleben otrzymali z rąk Hitlera buławy marszałkowskie.

ALEKSANDER RUSS

MOCNE UDERZENIE

Terminów stanowiących jej określenie było wiele: big-beatowa, młodzieżowa, rytmiczna — muzyka spod znaku „mocnego uderzenia" narodziła się na Zachodzie w początkach lat sześćdziesiątych. Prekursorskim jej nurtem było tzw. "Liverpool sound" proponujące, po okresie bezsprzecznego panowania rock and rolla i twista, nowe i interesujące rozwiązania muzyczne. Wkrótce jednak okazało się, że big-beat to nie tylko taneczna rozrywka, ale zjawisko o szerszym charakterze.

W wiosenne sobotnie przedpołudnie 1963 roku sprzedano na łódzkich bazarach pierwszą płytę „Beatlesów"; później na Czerwonym Rynku w każdą sobotę kwitł handel nowościami i bublami angielskich koncernów płytowych; ceny były zazwyczaj bardzo wygórowane. W tym samym czasie kolportowano — robione z mocno wyeksploatowanych negatywów — odbitki z podobiznami Johna, Paula, George'a i Ringo. W witrynach małych prywatnych sklepów pojawiły się fatalne technicznie pocztówki dźwiękowe z nagraniem „She loves you". Coraz częściej świeciły pustką fotele salonów fryzjerskich, a na ulicach przybywało czupryniastych, długowłosych młodzianów, uczesanych z grzywą opadającą na oczy, jak ich bożyszcza. W sklepach muzycznych podwojono zamówienia na dostawy gitar elektrycznych, a zagracone strychy, czasem klatki schodowe, nierzadko klubowe sale zaczęły rozbrzmiewać dźwiękami instrumentów początkujących wirtuozów, które to dźwięki miały przypominać brzmienie popularyzowane przez zachodnie stacje radiowe w rodzaju „Radia Luxembourg". Tak było wówczas w całym kraju. Dotknęła nas — jak mawiano — „plaga beatlemanii". Na Wybrzeżu, z inicjatywy red. Franciszka Walickiego (znanego pod pseudonimem: Jacek Grań), powstał pierwszy w Polsce zespół utrzymany w nowej konwencji — „Rythm and Blues", przekształcony później w „Czerwono-Czarnych".

Powstanie pierwszej w Łodzi grupy „mocnego uderzenia" tonie w mrokach niepamięci. Faktem jest jednak, że już w roku 1963 istniało ich sporo, co świadczy o tym, iż nasze miasto również uległo postępującej modzie. Zakładane wówczas zespoły gitarowe skupiały przede wszystkim amatorów, zapaleńców, wytrwale kopiujących zachodnie wzory, uparcie naśladujących brzmienie Kinksów czy Yardbirdsów. Własne próby twórczości można by zliczyć na palcach. Niebawem jednak ambicja i chęć poszukiwania wzięły górę; przełamano barierę tremy, powtarzając: „te angielskie kawałki to dobre na chałturę, a na przegląd trzeba mieć też coś swojego". Widząc powszechność zjawiska, niektóre instytucje kulturalne (i nie tylko) naszego miasta w porozumieniu z klubami (przyzakładowymi, związkowymi) zaczęły organizować przeglądy i konkursy dla „dzikich" zespołów. Wiele z nich znalazło sobie potem protektorów w postaci wspomnianych klubów, domów kultury, a nawet zakładów pracy. W owym czasie na czoło powiększającego się z dnia na dzień grona ansambli, wybijała się grupa „Świerszcze" — w Łodzi mówiło się nawet o „erze Świerszczy". Ale ery trwają dziś bardzo krótko: po upływie kilkunastu miesięcy nikt dokładnie nie wiedział, co stało się ze „Świerszczami". Zniknęły, a na ich miejsce pojawiło się całe mnóstwo nowych zespołów. Każdy z nich prezentował w swoim repertuarze własne utwory. Często były to piosenki słabe, jeszcze częściej — szyte grubymi ściegami utworów angielskich. Podobnie, a może i gorzej, wyglądała sprawa tekstów tych piosenek — z małymi wyjątkami była to amatorszczyzna i bezsens, większość słów piosenek „tekściarzy z przypadku" tworzyła całości w stylu: „ja kocham cię, ty kochasz mnie, my kochamy się" albo „tak mi smutno jest bez ciebie, gdzie odeszłaś już sam nie wiem". Niemniej jednak uznać należy dążenia tych domorosłych autorów i kompozytorów do własnej twórczości estradowej za czynnik pozytywny w rozwoju łódzkiej muzyki młodzieżowej.

Łódzka rozgłośnia Polskiego Radia wychodząc naprzeciw zainteresowaniom słuchaczy zaczęła emitować cotygodniowy magazyn muzyczny Andrzeja Królikowskiego pn. „Melodia, rytm i piosenka". Ważne jest, że — ukazująca się do dnia dzisiejszego — „emeripe" preferuje nagrania łódzkich wykonawców, i w ramach tej audycji miało miejsce wiele antenowych debiutów rodzimych solistów i zespołów.

Prawdziwą gratką dla łódzkich melomanów spod znaku „mocnego uderzenia" były zorganizowane w naszym mieście koncerty The Hollies (wraz z rozpoczynającą światową karierę piosenkarką — Lulu), a w dwa lata później — The Animals.

Były to czasy, gdy na plakacie zapowiadającym występ zespołu „Pająki" (grał tam na perkusji Janusz Koman, dziś znany kompozytor) widniało zdanie wypisane czarnym tuszem: „gra 5 Pająków w składzie"... i tutaj podano sześć nazwisk; były to czasy, gdy ceniony aktualnie twórca muzyczny — Włodzimierz Korcz, uczestniczył w niedzielnych „Spotkaniach z piosenką" w Parku Poniatowskiego, a jego piosenka „Sen o maturze" cieszyła się nieprzemijającym powodzeniem wśród... licealistów; były to wreszcie czasy, gdy obecny prezes Stowarzyszenia Muzyki Estradowej — Andrzej Jóźwiak był trębaczem w jazzowym zespole „Old Jazz Stompers"...

Jedną z zawiązanych wówczas grup byli „Trubadurzy", występujący pod eksportową, nieco snobistyczną nazwą „The Trubadours". Oni to jako pierwsi przygotowali pełny, recitalowy, oparty na własnych kompozycjach członków zespołu program oraz wyszli ze swymi produkcjami poza własne środowisko zdobywając na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu nagrodę za wyśpiewanego przez solistkę zespołu — Sławę Mikołajczyk — „Ondraszka". Tymczasem na estradach Polski, a także za granicą, występowali już dwaj inni łodzianie: saksofonista Włodzimierz Wander (brat sympatycznej spikerki telewizyjnej) i mistrz perkusji Andrzej Nebeski, „zrzeszeni" później w grupie „Polanie".

Sukcesy „Trubadurów" spowodowały prawdziwą eksplozję: w Łodzi w krótkim czasie powstało kilkanaście nowych zespołów: Impulsy, Dandysi, Żółwie, Meteory i inne. Niektóre z nich nosiły nazwy dość dziwaczne: 47 Pokolenie Piasta i Rzepichy, Śliwki. Ten ostatni zespół należał do czołowych w naszym mieście. Ich radiowe nagrania (np. „Ogary poszły w las") udowodniły, że — obok instrumentalnej — ważna jest strona wokalna wykonywanych utworów. Rosenberg i jego koledzy prezentowali songi dojrzałe muzycznie i tekstowo, z harmonijnie rozłożonymi partiami w chórkach (wszyscy śpiewali), a jednocześnie na podkreślenie zasługiwała wysoka kultura wykonawcza. Nic więc dziwnego, że uważani byli, przez wszystkie lata istnienia „Śliwek", za jeden z zespołów wiodących. Nieco inny styl prezentowali „Puchacze", w których muzyce dostrzec można było wpływy wojażującej po Polsce grupy The Artwoods. I ten zespół, szczególnie od czasu, gdy jego szef — Krzysztof Kanar nagrał w łódzkiej rozgłośni PR piosenkę o budziku, cieszył się powodzeniem wśród młodzieży, o czym świadczyła duża frekwencja (50% „gapowiczów" wchodzących przez okna) na ich wieczorkach tanecznych w „akademiku" na Bystrzyckiej. Zresztą w końcowej fazie istnienia „Śliwek" i „Puchaczy" te dwa zespoły spotkały się na estradzie Teatru Rozmaitości w tzw. „meczu beatowym" (konferansjerem był znany z telewizji — Zbigniew Zaliński).

Wreszcie „Cykady". Zespół ten istniał pod opieką Komendy Chorągwi ZHP (jeszcze wówczas bez imienia) w Łodzi. Rzecz jasna, w pierwszym etapie działalności wieloosobowa (chór żeński, męska grupa instrumentalna, soliści) grupa, kierowana przez Bernarda Sołtysika (dziś: szefa „Pro Contry"), wykonywała przede wszystkim program składający się z piosenek harcerskich lub z tą tematyką związanych (np. „Daleko szukajcie nas"); dopiero po pewnym czasie „Cykady" zaczęły uprawiać piosenkę popularną — niektóre z nich stały się prawdziwymi lokalnymi przebojami (np. Zbigniewa Gajewskiego i Andrzeja Michalskiego „Zatańcz ze mną"). Aby dopełnić formalności, dodać należy, że „Cykady" w ogólnołódzkich festiwalach muzyki młodzieżowej zajęły trzykrotnie pierwsze miejsce zdobywając na własność główną nagrodę — „Złotą Gitarę" (była to umieszczona w specjalnej obudowie miniaturka instrumentu). Poza tym na tych przeglądach wyróżniono instrumentalistów z „Cykad": gitarzystę Jerzego Rochalę (później członka orkiestry H. Debicha) i basistę Janusza Płytę (dziś grającego w zespole Maryli Rodowicz).

Pisząc o łódzkiej muzyce drugiej połowy lat sześćdziesiątych trzeba również wspomnieć o prowadzonym przez kompozytora — Janusza Sławińskiego bigbandzie (a następnie sekcji) „Kanon Rytm". Historia tego zespołu wymagałaby osobnej monografii, przypomnę więc tylko, że była to prawdziwa „szkoła" muzyków; z „Kanon Rytmem" występowali m.in. P. Ciszek, T. Dziubiński (dziś: „Grupa Test"), G. Gierłowski, K. Majchrzak, A. Rybiński (dziś: leader w grupie „Andrzej i Eliza"), W. Wieszczycki — wielu z nich gra dzisiaj w krajach skandynawskich. „Kanon Rytm" posiadał również solistów, wśród których był — tu ciekawostka! — Haakon Sandoy, norweski reżyser filmowy, który poprzednio współpracował w Wielkiej Brytanii z doskonałymi zespołami angielskimi.

Kończył się rok 1966, gdy w Pałacyku ZMS przy ul. Piotrkowskiej reaktywowano, zapomniany przez wszystkich, Jazz-Club „Storyville", a w skład zarządu weszli m.in. Andrzej Jóźwiak i Krzysztof Cwynar; kończył się rok 1966, w którym „Trubadurzy" nagrali swoją pierwszą płytę z czterema utworami Sławka Kowalewskiego do tekstów Andrzeja Piasta (prawdziwe jest tylko imię, reszta to pseudonim pewnego redaktora); kończył się rok 1966, a łódzkie „mocne uderzenie" stanęło w przededniu zmian, jakie miał przynieść z sobą nadchodzący rok...

W naszym mieście środowisko muzyczne było zamkniętym światkiem w którym bez trudu znaleźć można było ambitnych muzyków i hochsztaplerów, nie odkrytych geniuszy i męty społeczne, dobre piosenki i koszmarną tandetę, kluby z wieczorkami tanecznymi i speluny, z których zionęło „patykiem" — wszystko było zmieszane jak w wielkim kotle lub jak w niektórych wierszach Boba Dylana, a nad tym wszystkim dominowało „emokanie" break-maszyny i cień gitarowego gryfu. Uformowała się już w Łodzi beatowa „geografia" — istniały ośrodki muzykowania, skupiska fanów (czyli „bitników"), miejsca handlu płytami. Niezmordowany pan Zygmunt Szpaderski robił świetne bębny, a młodzież słuchała piosenki Herman's Hermits pt. „No milk today", co na „biglu" przetłumaczono natychmiast na swojskie „Mołoka siewodnia nie nada" (nawiasem mówiąc: piosenka „Mleko" znalazła się na drugiej płytce „Trubadurów"). Tak więc beztrosko toczył się big-beatowy światek ku niewiadomemu.

Tymczasem „Trubadurzy" przygotowywali nowy program. Krawczyka i Lichtmana, którzy eksperymentowali w warszawskim „Izomorfie 67", zastąpili Borkowski i Kawecki. Próby w nowym składzie odbywały się w podziemiach Klubu Studentów „Pod Siódemkami". Pamiętam, że w niewielkiej piwniczce warunki były raczej spartańskie — poza aparaturą i instrumentami było tam tylko kilka foteli ków. Mimo to „Trubadurzy" spędzili tam prawie całą wiosnę, a na lato przygotowywano wspólny wyjazd, bodaj na Wybrzeże...

W lipcowe przedpołudnia pod namiotem sopockiego Non-Stopu, Piotr Janczerski wraz ze Zbigniewem Podgajnym opracowywali piosenkę „Gdy byłem chłopcem chciałem być żołnierzem". W dwa miesiące później utwór ten ćwiczyła już w Klubie Handlowca grupa złożona z łódzkich muzyków, których Piotr „zarazil" folkiem i skiffiem. Dźwięk gitary Jurka Krzemińskiego dobiegał z „Hermesa" na ruchliwą Piotrkowską, wtórowały mu instrumenty Borkowskiego, Kaweckiego i kilku innych weteranów łódzkiego „mocnego uderzenia". 6 grudnia odbyła się telewizyjna premiera nowej grupy, która niebawem przybrała nazwę „Grupy NoToCo".

S. Kowalewski był przez moment jedynym „trubadurem", ale wkrótce wrócili z Warszawy „izomorfiści", a w jakiś czas później czwartym członkiem zespołu został organista, znany kompozytor szlagierów — Ryszard Poznakowski. Późną jesienią piosenka „Chcę po twoich poznać oczach" (Gaertner — Dzikowski) święciła triumfy na antenie PR. Po nich przyszły następne — tym razem w TV Giełdzie Piosenki oraz w wydawnictwach płytowych.

Obydwa zespoły stały się łódzkimi rewelacjami na skalę krajową i wypłynęły na szerokie wody, zyskując przez pewien czas konkurentów jedynie w Niemenie i Czerwonych Gitarach. Na placu boju pozostały „Białe Kruki" („Dziwne Rzeczy"), którymi zaopiekował się Cezary Juszyński (czyli Jan Gwóźdź) oraz „Piotrusie", gdzie grywał także Marian Siejka (dzisiaj szwagier samego Piotra Figla). Pozostało również wiele innych, mniej znanych zespołów; wiele nowych miało dopiero powstać...

Wtedy, w połowie 1968 r., ktoś powiedział: „mocne uderzenie — słabnie". Zaczęto wzdychać do starych dobrych big-beatowych czasów. Ale przecież i te, które miały nadejść, nie były gorsze; były po prostu nieco inne.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

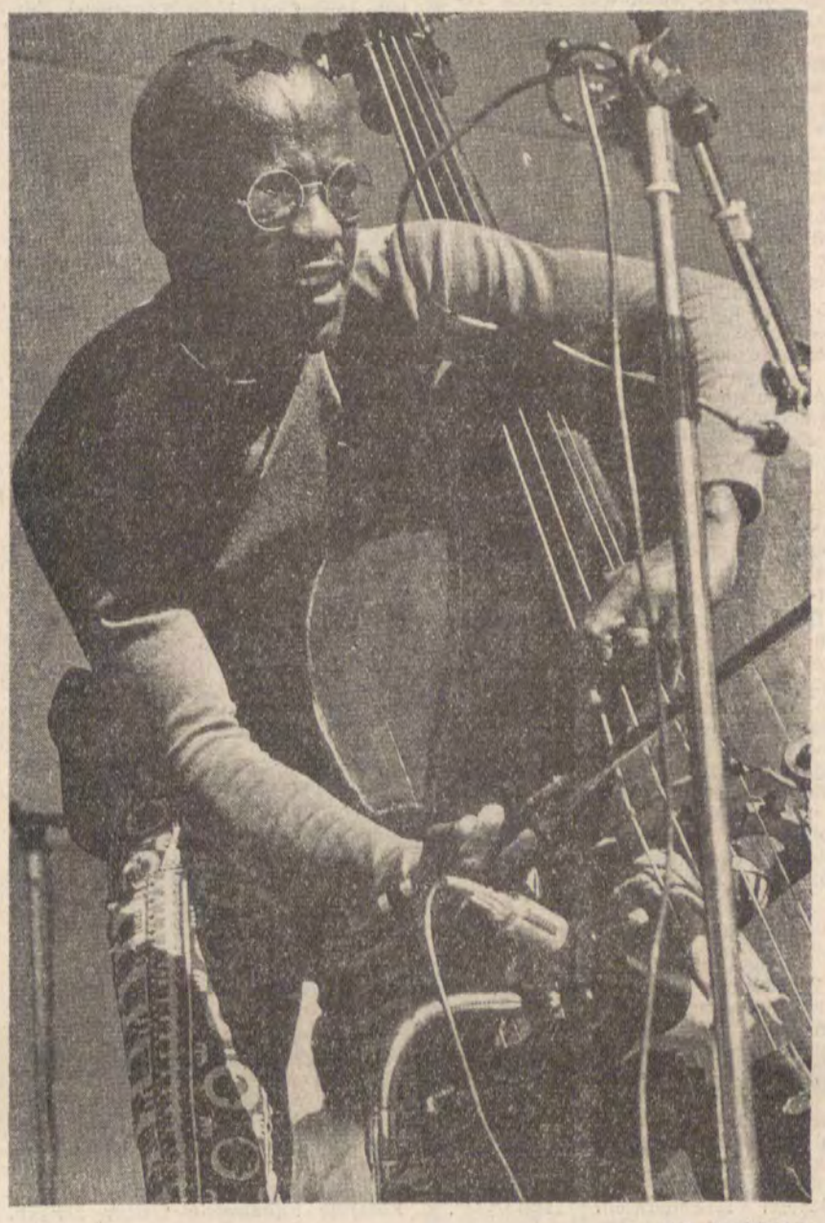

Fot. Archiwum

Fot. Archiwum

AGENT BRUTUS

W swojej książce o brytyjskim systemie podwójnych agentów podczas II Wojny Światowej John Masterman nie podawał oczywiście prawdziwych nazwisk swoich bohaterów. Jak to się zwykle czyni w takich wypadkach, zadawalał się kryptonimami, tymi pod którymi występowali oni w brytyjskiej służbie wywiadowczej, nie podając kryptonimów, pod którymi figurowali oni w kartotekach wywiadu niemieckiego. Brytyjski historyk tak właśnie postąpił opisując działalność dwóch agentów w służbie brytyjskiej, którzy byli Polakami.

O pierwszym z nich — używając kryptonimu Careless — powiedział stosunkowo niewiele. Wiadomo, że był on polskim lotnikiem, zestrzelonym przez Niemców w 1939 r., który drogą przez Francję, Hiszpanię dostał się na wyspy brytyjskie, gdzie miał zbierać dla Niemiec informacje z zakresu lotnictwa, w szczególności o dostawach amerykańskich samolotów dla wielkiej Brytanii, o produkcji zbrojeniowej i systemie przeciwlotniczym.

„Na tym polu Careless miał spore osiągnięcia — pisze J. Masterman — i udało mu się zaszczepić Niemcom strach przed siłą naszej biernej obrony przeciwlotniczej".

Znacznie barwniej przedstawia się historia innego Polaka, będącego podwójnym agentem w służbie brytyjskiej, opatrzonego kryptonimem Brutus, który działał od października 1942 r. aż do stycznia 1945 r. i został określony jako „nie opłacany agent, pracujący z pobudek ideologicznych". Brytyjski historyk wielokrotnie podkreśla, że Brutus był nadzwyczaj ważnym agentem, który oddał Wielkiej Brytanii szczególnie doniosłe usługi. Był on „ogromnie ważną dla nas zdobyczą roku 1943" — powiada J. Masterman. Brutus był Polakiem, który w 1940 — 1941 r. „w sposób wybitny wyróżnił się jako szef tajnej organizacji działającej we Francji". Wpadł w ręce niemieckie w listopadzie 1941 r., przez osiem miesięcy przebywał w więzieniu, kiedy zaś Niemcy byli już przekonani, że całkowicie „urobili" go dla współpracy, pozwolili mu „uciec" w lipcu 1942 r. Brutus znalazł się w Wielkiej Brytanii w październiku 1942 r. i zaraz porozumiał się z przedstawicielami wywiadu brytyjskiego. Usilnie nalegał — pisze J. Masterman — „abyśmy włączyli go do, jak to sam określił, „wielkiej gry". „Tymczasem brytyjska Rada Wojenna miała jakieś wątpliwości i dopiero w styczniu następnego roku zatwierdziła Brutusa jako podwójnego agenta. Zgodnie z instrukcjami, otrzymanymi od Niemców, „Brutus miał przekazywać różnego rodzaju informacje wojskowe, ale pierwszym i podstawowym jego zadaniem było doprowadzić do współpracy między polskimi kołami wojskowymi a Niemcami i utworzyć polską piątą kolumnę w Anglii, zdolną do prowadzenia akcji sabotażowych i propagandy dywersyjnej". Tak brytyjski historyk ocenia zadania, wyznaczone przez Niemców Brutusowi, nie oceniając przy tym, czy i w jakiej mierze były one w ogóle realne.

J. Masterman nie ukrywa, że z Brutusem Brytyjczycy mieli nieco kłopotów. Był on polskim oficerem w służbie czynnej, którego podstawową zasadą życiową „była wierność Polsce", więc „chcąc go wykorzystać musieliśmy poinformować jego polskich zwierzchników w Anglii o naszej działalności", to zaś nie było w pełni możliwe ze względu na warunki bezpieczeństwa. Były jeszcze i inne trudności, również natury politycznej, które jednak szczęśliwie udało się przezwyciężyć; nawet polskie czynniki wojskowe wyraziły zgodę na nie żądanie kopii materiałów, przekazywanych Niemcom przez Brutusa.

„Jak się okazało — pisze J. Masterman — Brutus był naszym najlepiej osadzonym agentem do spraw informacji wojskowych, a w miarę jak rosło nasze przekonanie zarówno co do niego samego, jak do zaufania, jakim go Niemcy darzyli, powierzaliśmy mu coraz więcej zadań, tak że w końcu odegrał on dużą rolę w akcji maskującej operację Overlord".

Również i sam Brutus sprawiał niekiedy kłopoty, jak wówczas, kiedy to zaangażował się w działalność polityczną przeciwko głównodowodzącemu polskich sił lotniczych i nawet stanął przed sądem wojennym. Brytyjski uczony nie zatrzymuje się dłużej nad tym epizodem — zapewne dlatego, by nie ułatwiać swym czytelnikom możliwości rozszyfrowania prawdziwego nazwiska podwójnego agenta — ale zauważa, że cała ta historia była wysoce niebezpieczna, groziła bowiem zdemaskowaniem, ewentualnie niemożliwością dalszego wykorzystywania Brutusa jako podwójnego agenta, „jednakże wszystko jakoś się ułożyło".

Właśnie Brutusowi przypadła szczególnie ważna rola w dezinformacji Niemców co do lądowania w Normandii (operacja Overlord): istota brytyjskiego planu polegała „na stworzeniu groźby zaatakowania rejonu Pas de Calais i że zagrożenie to było oparte na utworzeniu pewnych fikcyjnych jednostek wojskowych, głównie znajdujących się w południowo-wschodniej Anglii, czy też, określając to ściślej, na wywołaniu w umysłach Niemców wiary w istnienie i taką właśnie lokalizację tych jednostek". Brutus nie był oczywiście jedynym podwójnym agentem, zaangażowanym w tę wielką dezinformacyjną operację, ale jego rola była szczególnie znaczna. Został wyłączony z gry dopiero po jej zakończeniu, wtedy kiedy aresztowania i procesy sądowe na terenie Francji stwarzały zagrożenie ujawnienia jego siatki w tym kraju. I na tym kończy się historia Polaka, podwójnego agenta w służbie brytyjskiej, opatrzonego kryptonimem Brutus. Znawcom dziejów II Wojny Światowej przyjdzie teraz próbować odsłonić jego prawdziwe nazwisko; nie można wątpić, że kiedyś to nastąpi.

LEKTOR

ZIELONI IDĄ W GÓRĘ

Dalszy ciąg ze str. 1

Z LZS województwa łódzkiego w latach 1953—56 „wypłynęli" tacy lekkoatleci, jak Bartoszczyk (10,9 na 100 m), Miłtko (49,4 na 400 m i 1,58,7 na 800 m), mistrz zrzeszenia M. Kowalski w biegach długich, czy Z. Motłoch, biegający trzy kilometry z przeszkodami i 5 km.

Ale na wsi dominowały inne dyscypliny sportu, lekkoatletyką nikt się specjalnie nie chciał parać, zresztą nasze województwo jest jednym z najuboższych, jeśli idzie o ilość sal gimnastycznych. Od 1956 r. lekkoatletyka zaczyna podupadać. Niewątpliwie jedną z przyczyn upadku było rozwiązanie Służby Polsce. Jednocześnie rozwiązano sekcję lekkoatletyczną „Pilica", zawodnicy rozsypali się, poszli do małych klubów, gdzie nie ma najlepszych warunków do uprawiania tej dyscypliny sportu...

Ale ja tutaj wjeżdżam ze swoim konikiem, a pan chciałby też coś na temat innych dyscyplin. Kolarstwem możemy się dziś chwalić, a kolarstwo to Bełchatów i Pawlikowice...

NA PRZYKŁAD BEŁCHATÓW

Pojechałem do Bełchatowa. **Józefa Kaczmarka** nie zastałem, gdyż udał się na zgrupowanie przygotowawcze do wyścigu Paryż — Nicea. Na ten czas jego żona wraz z dzieckiem wyniosła się do rodziców w Kurnosie. Ale był przewodniczący PKKF, **Roman Próchnicki.**

Kiedy zacząłem się przyglądać stojącym w gablocie pucharom, pośpieszył z wyjaśnieniem:

— To jeszcze z początków sportu w Bełchatowie. Były takie wyścigi z okazji 1 Maja, lub 22 Lipca. Na rowerach turystycznych, później już na wyścigowych. Zaczęło się w roku 1960, a w 62 powstała zarejestrowana sekcja kolarska. Pierwsi dali się poznać Jaśkiewicz, Ciupa, Sobutkowski. W miarę wzrostu popularności tych wyścigów na starcie stawali uznani dziś zawodnicy: Pawłowski, Rubin, Bek, Szkop, Kowalski. Tutaj zaczynał też Józef Kaczmarek...

Próchnicki urwał, potem zaczął się rozwodzić na temat życia sportowego w Bełchatowie. Że mimo braku bogatych mecenasów („fabryka" cukierków i „Bawełnianka" tylko), niedostatku sal gimnastycznych i wykwalifikowanych nauczycieli wf, można się pochwalić wynikami. A zaczynano od kawałka pagórkowatego pola z bramkami. Była tylko piłka nożna, potem tenis stołowy, siatkówka, piłka ręczna, gimnastyka, kolarstwo. Propagowano też zapasy, ale nie chwyciły.

Bełchatów przed utworzeniem powiatu liczył siedem, obecnie dziewięć tysięcy mieszkańców. Słabe zaludnienie to też przeszkoda w szybkim rozwoju sportu. Brak sprzętu i mecenasów nie pozwala na wychowanie wielu wyczynowców, ale popularność sportu wśród młodzieży ze szkół podstawowych i średnich jest znaczna, o czym świadczą wysokie lokaty w spartakiadach.

Trzeba przyznać, że z pewną pomocą przychodzi sportowcom spółdzielczość pracy, lecz jest to niewielki zastrzyk finansowy. Dlatego też sami sportowcy starają się o zdobycie pieniędzy. Np. przy sekcji kolarskiej działa Koło Przeciwalkoholowe, które „świadczy" usługi dla Powiatowego Komitetu Przeciwalkoholowego, urządzając propagandowe wystawy, redagując okolicznościowe gazetki, kolportując ulotki i afisze. Stąd pieniądze odkładane na książeczkę SOP i przeznaczane na zakup sprzętu.

Dzięki działaczom — zapaleńcom, takim jak choćby Sobutkowski, i dobrej organizacji, można również „dochrapać" się obiektów sportowych. Np. bez czekania na decyzję władz, „półprywatnie" doprowadzono do zbudowania pięknej sali gimnastycznej o wymiarach 24x14. Albo kąpielisko z basenem w Domiechowicach, o wymiarach 63x35, z 40 kabinami, położone w głębi starego parku Kosztowało 1 200 tysięcy złotych, a wykonano je w czynach społecznych.

BOLO I TEN STARSZY

W Bełchatowie wszyscy liczą na młodzież kolarską. Na Fajksa i Kocińskiego, na Józefa Kaczmarka „młodszego" i na powrót z wojska Wolskiego, który jeździ teraz w „Orle".

Ale fachowcy twierdzą, że lepsze są **Pawlikowice**. Pawłowski to już starsza historia, ale taki Bylicki! Inteligentny chłopak, on wygrywał z Józefem Kaczmarkiem „starszym". Szkoda, że prześladują go dolegliwości żołądkowe.

Wszyscy jednak są zgodni, że chlubą kolarstwa wiejskiego jest ten 24-letni pracownik **PZGS** w Bełchatowie, **Józef Kaczmarek „starszy"**. Ponieważ w Domiechowicach mieszka jego kuzyn, też Józef Kaczmarek, jeden z najlepszych juniorów w okręgu, dla odróżnienia nazwano go „Bolo".

W skrócie o „starszym" Kaczmarku. Jako junior był współautorem zdobycia przez reprezentację województwa (LZS) mistrzostwa Polski. Jako senior powołany do kadry olimpijskiej, a po roku do kadry na Wyścig Pokoju. Sukcesy: III miejsce w górskich mistrzostwach Polski, trzeci w wyścigu we Francji, piąty w wyścigu Dookoła Polski. Drugi kolarz Polski w zrzeszeniu LZS.

W Bełchatowie mówią, że byłby pojechał na mistrzostwa świata ale coś się „pokićkało" z paszportami. I że przeżył ciężko niepowodzenia podczas wyścigu w Algierii. Nie pojechał na Wyścig Pokoju, ale też się nie załamał. Kiedy wrócił do Bełchatowa mówią, to złapał trochę świeżego, swojskiego powietrza i zaraz chciał wsiadać na rower. Ale fachowcy powiedzieli, że ma sobie zrobić rok przerwy. Skończyło się na czterech miesiącach, ponieważ w Bełchatowie uznano, że Józef Kaczmarek powinien jeździć na rowerze nawet do ustępu, kochać rower i spać z nim. No i Kaczmarek będzie się ścigał z Merckxem...

Zarabia w PZGS tyle, że wstydzi się do tego przyznać kolegom na zgrupowaniu. Chciało go podkupić kilkanaście możnych klubów, ale on pozostaje wierny Bełchatowowi. Choćby ze względu na trenera Sobutkowskiego, który dla kolarzy jest drugim ojcem, a zwłaszcza dla Kaczmarka. Sobutkowski, mówią, sam nie zje, a da kolarzowi. Jeśli go z urzędu wypędzą drzwiami, to wejdzie oknem.

Trzeba przyznać, że władze również interesują się życiem i karierą sportową Kaczmarka. Kiedy wrócił z wyścigu w Maroku, otrzymał klucze do nowego mieszkania. Odwdzięcza się sumiennością, pracowitością, dbałością o sprzęt, a trzeba wiedzieć, że dobry rower na włoskich częściach kosztuje kilkanaście tysięcy złotych.

Ostatnio Józef Kaczmarek, jako jedyny reprezentant województwa, znalazł się na liście dziesięciu najlepszych sportowców Łodzi.

LICZĄ SIĘ W KRAJU

— Przed wojną — mówi Zdzisław Skibior — **istniało w województwie zaledwie kilka klubów sportowych na wsi. W r. 1970 zrzeszenie LZS postawiło na milion członków w kraju. Obecnie w województwie łódzkim działa około 1200 LZS-ów, posiadających 73 tys. członków. Z chwilą utworzenia Federacji, LZS-y przekształca się na kluby, między innymi klubami stały się LZS-y w Bełchatowie i w Sieradzu.**

Chyba najlepszymi wynikami może się poszczycić powiat łaski, gdzie istnieją takie silne sekcje, jak kolarstwo, piłka nożna, ciężary, siatkówka (Dobroń) i niezła sekcja lekkiej atletyki.

W kraju liczy się wielu sportowców wiejskich Ziemi Łódzkiej. Wśród kolarzy seniorów należy wymienić, oprócz Kaczmarka: Pierzyńskiego, Bylickiego, Majchrowskiego, Szolka i Węglowskiego, a wśród juniorów Kędziarę, Sujkę, Piątkowskiego.

Znani są ciężarowcy: Iwańczyk, Michniewicz, Włodara i Gniazdowicz oraz jeźdźcy, członkowie kadry narodowej z Bogusławic: Sońta, Kubiak (ósmy na mistrzostwach Europy w Kijowie), Andrzejewski i Madejczyk. Członkiem kadry narodowej jest też walczący w stylu wolnym zapaśnik Wielowski.

Tyle Skibior o tym, czym można się pochwalić. Są jednak i sprawy przykre. Jak mi wiadomo, w rozsypce znajduje się klub „Ziemia Łódzka", skupiający najlepszych ciężarowców i lekkoatletów. „Ziemia Łódzka" była we wszystkich kategoriach wiekowych najlepsza w okręgu (lata 1972—73), a trzecia w Polsce, po Legii i Agromelu z Torunia. Jednakże mimo zabiegów Rady Przyjaciół **LZS**, wsparcia ze strony **WKKF** i **RP LZS**, nie zdołano zapewnić odpowiednich środków na utrzymanie klubu. Wojewódzka Federacja nie może pomóc, bo twierdzi że, „Ziemia Łódzka" nie jest klubem, gdyż nie prowadzi działalności szkoleniowej „na dole", w związku z czym nie można jej sfederować.

Tak więc kolarze i ciężarowcy rozejdą się do swoich małych klubów, gdzie będą niczym, bo nie znajdą odpowiednich warunków. Nie sfederowana „Ziemia Łódzka" to klub II kategorii, z której mogą zabierać zawodników „Społem" i „Włókniarz", kluby I kategorii.

JAK USPORTOWIĆ GMINĘ

Wraz z utworzeniem nowego podziału administracyjnego wsi oraz powołaniem Rad Gminnych LZS wzrosło zainteresowanie władz terenowych, zwłaszcza naczelników gmin, sprawami rozwoju kultury fizycznej i sportu. W porozumieniu z urzędami gmin **RW LZS** przyjęła zasadę, że w województwie łódzkim budować się będzie kompleksowe obiekty sportowe jako Gminne Ośrodki Sportu i Wypoczynku, administrowane przez Urząd Gminny. Takich kompleksowych obiektów jest w tej chwili 30 na 157 gmin), ale w ramach zobowiązań podjętych dla uczczenia 30-lecia PRL, zmierza się do powiększenia bazy obiektów gminnych o 37.

RW ZSL idzie gminom z pomocą, udostępniając m. in. dokumentację, starając się jednocześnie o opracowanie centralne typowej dokumentacji, maksymalnie uproszczonej.

Wydaje się, że w atmosferze wspólnego zaangażowania aktywu LZS i Urzędów Gmin sport wiejski rozpocznie nowy, pomyślny etap swego rozwoju.

W trakcie obchodów XXX-lecia PRL w każdej gminie i powiecie odbędą się spartakiady; czynem społecznym doprowadzi się do porządkowania stadionów, wiele uwagi poświęci się budowie nowych obiektów oraz konserwacji i modernizacji już istniejących. We współpracy z ZSMW zorganizuje się wiele imprez sportowych i turystycznych, takich jak: wyścigi kolarskie, biegi przełajowe, rajdy piesze, rowerowe i motorowe.

Myślę, że te imprezy, a przede wszystkim zapalone dla sportu wiejskiego zielone światło pozwolą wyłowić i wychować nowe talenty, których na wsi nie brak. Józef Kaczmarek będzie się ścigać z Merckxem...

RYSZARD BINKOWSKI

P.S. Ostatecznie Kaczmarek, który podobnie jak pozostali polscy kolarze nie wytrzymali trudów wyścigu (niedostatek startów w wyścigach przygotowawczych), na ostatnim etapie wycofał się z wyścigu. Eddy Merckx też przegrał...

R.B.

wiosna74poznań

Dalszy ciąg ze str. 1

II

Na tegorocznych Targach Krajowych — Wiosna 74 do dyspozycji wystawców oddano powierzchnię 76.445 m kw. Obok wystawców krajowych znalazły sie na Targach również firmy zagraniczne ze Związku Radzieckiego, Jugosławii i NRD. Można więc rzec, że były to Targi Krajowe ale w obsadzie międzynarodowej. Globalna oferta wystawców szacowana była na 61,2 mld zł, co przewyższało o 29 proc. ogólną wartość obrotów z ubiegłorocznych Targów Wiosna 73. Przedmiotem kontraktacji były towary przewidywane na zaopatrzenie rynku wewnętrznego w III i IV kwartale br. Najwyższy udział w ofercie miał Przemysł Lekki — 25.700 mln zł oraz wystawcy podlegli resortowi Ministerstwa Przemysłu Spożywczego i Skupu — 9.568 mln zł, Zjednoczeniu Ministerstwa Przemysłu Chemicznego — 8.100 mln zł i Spółdzielczości Pracy — 7.700 mln zł. Firmy ze Związku Radzieckiego i NRD wystawiały kosmetyki.

III

Przyjechałem do Poznania w okresie, kiedy na terenie Targów wrzały prace przygotowawcze, kiedy po halach szalały i miotały się ekipy stolarzy, elektryków, malarzy, monterów, kiedy nad planszami ślęczeli słaniający się ze zmęczenia plastycy wykonujący grafikę reklamową, kiedy dla postronnego obserwatora nie wiadomo było co, z czego i gdzie będzie i czy będzie to Disneyland, jakaś nowa Wieża Babel, dekoracja do jakiegoś współczesnego polskiego filmu z retrospekcjami w czasy wojny, czy też jeszcze coś zgoła innego. Wtajemniczeni byli jedynie projektanci i wykonawcy. Oni wiedzieli co się dzieje i oczyma wyobraźni widzieli kształt przyszłych pawilonów, stoisk oraz aranżację przestrzenną terenów targowych. Nawet przedstawiciele wystawców łazili w tym chaosie jak błędne owce, usiłując połapać się o co tu właściwie chodzi. A w skrzyniach czekały cierpliwie towary — oferty, a więc to, co dla handlu a zatem — to co dla nas.

Nauczony doświadczeniem, czyli życiem, zacząłem swój pobyt w stolicy polskiego handlu od załatwiania sobie jakiegoś pokoju albo chociażby łóżeczka. Lojalnie, po obywatelsku, najpierw udałem się do biura rezerwacji. — W hotelach wszystko zarezerwowane, a kwatery prywatne też — wypowiedziały obojętnie prześlicznie wykrojone usteczka panienki uformowanej przez naturę bardzo starannie, z przedziwną a godną pochwały dbałością o detale. Pomyślałem sobie w skrytości ducha, że może gdybym był młodszy, dziewczyno, to w twym serduszku znalazłbym jakiś cichy, przytulny kącik na tych kilka nocy i krokiem człowieka, który zna różne ścieżki ruszyłem do „Merkurego".

W recepcji siedział facet w uniformie (ceglastym) i w okularach.

— Chciałbym pokój. Na cztery doby.

— Nie ma. Zarezerwowane.

Źle się czuje człowiek, którego odprawiają z kwitkiem nawet nie spojrzawszy na niego. Krew sarmacka zaczęła mi się w żyłach formować w bąbelki, co jest oczywistym sygnałem, że trzeba natychmiast dostać kierownika, dyrektora, prezesa, naczelnika czyli tzw. WŁADZĘ, która MOŻE.

Kierownik, kiedy do niego wlazłem i wyłuszczyłem sprawę, w przeciwieństwie do urzędnika z recepcji przyjrzał mi się ciekawie jakby zobaczył rzadko spotykany okaz jakiegoś zwierzaka.

— Wszystkie miejsca mamy zarezerwowane — rzekł statycznie.

— Może jest jakiś wolny apartament na jedną, dwie noce.

— Apartamenty to też pokoje.

Wtedy poczułem się małym człeczyną, który do „Merkurego" przyjechał z Koluszek. Apartamenty to też pokoje. Fakt. Podziękowałem za informację i wyszedłem w Poznań bogatszy o jakiś tam okruch nowej wiedzy, ale za to bezdomny.

Bąbelków było jednak coraz więcej w mojej krwi i tak jakoś dziwnie mnie łaskotały. W recepcji hotelu „Bazar" strzeliłem z dwururki. Z obu luf naraz.

— Have you any rooms available?

— What kind of room do you require?

— I'd like to have a single room.

— Please. Would you please complete this form.

Nonszalanckim ruchem wziąłem kartę meldunkową i... wpisałem zgodnie z prawdą. Panienka w recepcji spojrzała na mój dowód, który nie był paszportem, na mnie, wokół siebie — jakby brała na świadka cały świat, że oto dzieje się tu ohyda nad ohydami i powiedziała wolno a wyraźnie — Pan nie jest cudzoziemcem. Mamy miejsca zarezerwowane tylko dla cudzoziemców.

I przestałem dla niej istnieć. Przestałem istnieć w ogóle. Polazłem z powrotem, pod biuro rezerwacji. Bąbelków w mojej krwi było już co niemiara. Przez biurem jakaś paniusia pociągnęła mnie za rękaw:

— Pokoik?

— Tak. W centrum. Bliziutko Targów. Wanna. Telefon. Bez pchel. Bez dzieci. Bez psów. W willi. Z ogrodem. Telewizor. Kolorowy.

— Tak, tak, jest wszystko. Pan pójdzie ze mną.

Poszedłem. Było wszystko jak w apartamencie, tylko że o wiele lepiej. Mieszkałem tydzień. Paniusia jeszcze tego samego wieczora dyskretnie zapukała do drzwi.

— Może pan się nudzi? Znam bardzo interesującą młodą panienkę...

— Nie. Ja to robię tylko z chłopcami — warknąłem arogancko.

— A nie znam. Nie znam. — I wycofała się dyskretnie.

Wycofała się bez słowa i bez zdziwienia. Zabiłem jej klina. Czegoś nie dopatrzyła w interesie. Ale głowę dać mogę, że błąd ten naprawi.

Teraz wykłócam się z szefem, żeby mi za reportaż zapłacił parę złotych więcej, bo się jednak wpędziłem w koszty.

IV

Tegoroczne Targi — Wiosna 74 miały szczególnie bogatą oprawę. Ale mnie utkwił w pamięci jeden pawilon. Pawilon pełen słońca. Dzień był piękny. Słońce świeciło gdzieś tam, w błękicie nieba i w tym pawilonie, w którym spędziłem pół dnia też było dużo, dużo słońca. A był to pawilon z zabawkami. Jedno tylko powiem: **nareszcie nasz przemysł robi zabawki dla dzieci**. Zabawek estetycznych, wesołych, mądrych, uczących było wiele. Było wiele zabawek zabawnych. Sam chciałbym mieć kilka z nich. Przed takim jednym uśmiechniętym Misiem-poduszką stałem długo i śmiałem się do tego Misia, a on śmiał się do mnie i tak obaj śmieliśmy się do

Fot. W. Parys

CZYŻBY SAMOTNY KOWBOJ?

1.

Babel mówi, że są ludzie, którzy piją wódkę i ludzie, którzy nie umieją pić wódki, a też piją. Babel był mądrym człowiekiem.

Pisałem kiedyś o malarstwie Benona Liberskiego; nigdy nie przyszłoby mi do głowy napisać o którymś z obrazów Liberskiego. Można mówić o architekturze budynku, o stylu w którym został zbudowany i źródłach tegoż stylu, można wreszcie mówić o funkcjonalności budowli, czy też o jej braku, można na koniec snuć rozważania o aktualnych, dawniejszych i ewentualnie przyszłych jej użytkownikach. Kto jednak będzie mówić o cegłach, z których ów budynek został wzniesiony?

Malarstwo Liberskiego jako całość, jest pewnym, wcale nienowym, i wcale nietrudnym do określenia zjawiskiem. Na gruncie polskim stanowi ono zapewne wyjątek, aczkolwiek nie jest to wyjątek na tyle duży, aby samo malarstwo uważać za wyjątkowe. Za granicą może ocena malarstwa Liberskiego byłaby inna, ale przed wysłuchaniem takiej oceny należałoby zadać pytanie: zza jakiej granicy pochodzi? Jeżeli ktoś chciałby się przyjrzeć uważnie malarstwu Liberskiego, niewątpliwie przyznałby mi rację, że w pytaniu tym tkwi sens głębszy.

Bożena Kowalska we wstępie do katalogu wystawy Benona Liberskiego w Salonie Sztuki Współczesnej informuje, że właściwy mu sposób malowania skrystalizował się u niego około roku 1960. Tak się złożyło, że miałem okazję śledzić rozwój owego skrystalizowanego około 1960 roku sposobu malowania, i muszę powiedzieć, że było to tak, jak bym oglądał cegły w murze. Mijały lata. Mur rósł wyżej i wyżej, powoli przekształcał się w budowlę o pewnym charakterystycznym i — trzeba tu znowu przyznać — nietypowym stylu, lecz cegły pozostawały cegłami; jedna podobna do drugiej jak krople wody. Jednakże nie zapominajmy, że jednorodność materii i formatu, słowem jednorodność struktury jest podstawowym (chociaż nie jedynym) parametrem zezwalającym aby cegła mogła być cegłą i spełniać funkcje cegły wobec innych cegieł, o identycznych parametrach.

Liberski nie tworzył nigdy poszczególnych obrazów — tworzył masę obrazów. Tworzył z obrazów widowisko, panopticum, cyrk, kalejdoskop, fotoplastikon, polski Disneyland, okolicznościową dekorację. W twórczości Liberskiego pojedyncze dzieło zostało sprowadzone do roli podrzędnego elementu, z którego można zbudować układankę — loteryjkę. Zaletą czy też wadą — to zależy od punktu widzenia — owej loteryjki jest absolutna dowolność układów: jeden element łatwo zastąpić innym i nie zmieni to w niczym charakteru i całości, ani też jej intelektualnej wymowy. Powtarzam: jest to zaleta lub wada; Cygan lubi babę, a Żyd lubi cebulę.

2.

Obrazy Liberskiego, które wiszą w salonie na Piotrkowskiej, wisiały już wiele razy w wielu innych miejscach. Jeżeli są tam jakieś nowe obrazy, to wyglądają one tak samo, jak wyglądają stare. Skoro nie zmienia się malarz — może powinien zmienić się odbiorca? Byli onegdaj malarze, którzy „nie zmieniali się" tworząc jednocześnie każdym nowym obrazem nową wartość; mówiąc każdym nowym obrazem coś nowego. Ale to było dawno i nieprawda — jak powiada mój przyjaciel Kazio, który co prawda nie jest mądrym człowiekiem, ale za to jest bardzo roztropnym dzieckiem. Liberski powtarza wciąż to samo w ten sam sposób, czyli w sposób, który skrystalizował się u niego około 1960 roku. Może Liberski chce dojść do doskonałości? Nie wiem, czy droga Liberskiego do doskonałości, jeżeli chce on dojść do niej rzeczywiście, biegnie w tym samym kierunku, co droga do sztuki. Twórczość i percepcja sztuki to przecież tak indywidualne i subiektywne sprawy. A aktualna mapa drogowa sztuki i doskonałości nie daje nam jasnego obrazu sytuacji.

3.

Słusznie napisałem, że Liberski pokazuje wciąż to samo. Zmieniły się jednak u niego w sposób widoczny proporcje wątków tematycznych. Procentowo tego, czego kiedyś było więcej, na obecnej wystawie jest mniej, a tego, czego kiedyś było mniej — jest stanowczo za wiele. Otóż Liberski pokazuje na wystawie dużo obrazów z dużą ilością nagich dziewcząt. Kiedyś pokazywał dużo obrazów z żołnierzami, sztandarami, kominami, i takimi innymi rekwizytami. Teraz pokazuje dużo nagich ciał. W różnych pozach. Z twarzami i bez twarzy. Przypuszczam, że wiąże się to z faktem, iż wystawa Liberskiego jest kolejną z cyklu wystaw prezentujących tendencje nadrealne i metafizyczne w polskiej sztuce współczesnej. A gdzież można znaleźć więcej nadrealności i metafizyki niż w gołej dupie.

4.

Niewątpliwie interesującą rzeczą jest zbadanie, czym charakteryzuje się sposób malowania Liberskiego skrystalizowany około 1960 roku. Otóż sposób ten charakteryzuje się najprościej mówiąc niestosowaniem koloru, a używaniem jedynie farby utrzymywanej w ryzach na płaszczyźnie płótna czarnym konturem, który ponoć, jak twierdzi cytowana już Bożena Kowalska, jest wynikiem studiów Liberskiego na Wydziale Grafiki Propagandowej, a nie na Wydziale Malarstwa. Studia na Wydziale Grafiki Propagandowej dały Liberskiemu, wedle sugestii Bożeny Kowalskiej, „nie tylko inny punkt spojrzenia na otaczające obiekty i zjawiska, a i odmienny punkt wejścia w malarstwo, ale także odwagę niczym nie krępowanej, żeby nie powiedzieć bezceremonialnej, interpretacji. Stosowany przez niego odrealniający i arbitralny kontur, proporcje deformowane ekspresyjnie lub dekoracyjnie, stypizowanie postaci i akcesoriów, ujednolicenie, lub wyjaskrawienie kolorystyczne — dają w rezultacie opowieści o mitycznie groźnym majestacie urządzeń przemysłowych, o dziewczynach z reklamowego wyobrażenia, o kowbojach z filmowej przygody, o owocach i jarzynach z kolorowych etykiet".

I to właściwie wszystko co dałoby się powiedzieć o sposobie malowania Liberskiego. Gdyby natomiast znalazł się ktoś, kto zarzuciłby mi, że w sposób nieadekwatny używam słowa „malowanie", musiałbym mu wyznać szczerze, że używam go, bo akurat żadne inne nie przychodzi mi do głowy.

5.

W polskiej sztuce uwiło sobie gniazdka wcale wygodne wiele mitów. Jednym z takich „mitów łagodnych", jest mit, że jeśli ktoś czerpie „z komiksów", to już złapał Pana Boga za nogi jeśli nie za coś innego. Jest on już wtedy dla niektórych kimś takim, kim dla Wiernych jest ktoś, kto odbył pielgrzymkę do Mekki. Liberski jest jednym z tych, którzy czerpią z komiksów. Komiksów u nas nie ma, chyba że ktoś coś z Paryża lub Londynu przywiezie. Jest w „Expressie Łódzkim" komiks, ale z niego i Salomon by nie naczerpał. Przed wojną drukowano u nas komiksy, ale to było przed wojną i nie były to komiksy prawdziwe. Nigdy się one u nas na stałe nie zadomowiły. Przypuszczam więc, że właśnie dlatego, że komiks jest obcy naszej kulturze masowej, istnieje w pewnych kręgach fascynacja tym gatunkiem twórczości, która jest twórczością jak najbardziej Zachodnią. Fascynacja ta nie nobilituje samego komiksu, bo jest już on dostatecznie znobilitowany, ale wyróżnia tych, którzy z komiksu czerpią. Liberski na przykład czerpie z komiksów od roku, w którym skrystalizował mu się sposób malowania. Liberski czerpie także z westernu. Można sądzić, że komiksy i westerny zrobiły na nim kiedyś duże wrażenie i to wrażenie pozostało do dzisiaj. Medycyna zna określenie na nazbyt długotrwały stan fascynacji. W sztuce używano dawniej określenia: „Pozostał wierny pierwszym... itd".

Jak uczą nas stare mity — a Liberski mity lubi i sam mity tworzy — wierność zawsze bywała nagradzana.

ANDRZEJ GRUN

---

siebie, aż w końcu zebrała się wokół nas cała gromada ludzi i śmieliśmy się wspólnie i przez tę chwilę tego śmiechu wspólnego byliśmy gromadą ludzi, których nie dzieli nic, a łączy prawdziwie szczery śmiech. Byliśmy gromad ludzi szczęśliwych. I była w nas wielka i prosta zarazem radość, której nie trzeba się wstydzić, a której tak bardzo brak jest nam wszystkim w życiu, na co dzień, a która jest przecież tak potężną siłą, łączącą i oczyszczającą zarazem.

Pamiętam Cię, uśmiechnięty Misiu. Kosztujesz dwieście parę złotych i bardzo chciałbym spotkać Cię w jakimś sklepie z zabawkami i zaraz bym Cię kupił i powiesił za Twoje śmieszne uszy nad swoim stołem, przy którym jakże często muszę pisać o rzeczach smutnych, bolących, o tragediach i niedostatkach ludzkiej kondycji. I kiedy popatrzyłbym na Twój uśmiechnięty pyszczek w chwili zwątpienia miałbym znowuż tę ważną pewność, że warto podejmować każdą, nawet najdrobniejszą próbę naprawy tego świata. A także najbardziej ryzykowną próbę. — Bo Ty wiesz i ja wiem, że świat ten zasługuje naprawdę na to, żeby było na nim więcej śmiechu serdecznego, więcej radości. Do zobaczenia wiec Uśmiechnięty Misiu z Poznańskich Targów.

V

W pawilonie Cepelii bubli, szmiry, pseudosztuki do wyboru, do koloru. Poczułem się tam jak dzikus, którego obdarowują kolorowymi paciorkami. W co tu jest grane? Chałtura też ma swoje granice. Chociaż...

Wyroby, które skupuje i sprzedaje Cepelia, w moim pojęciu powinny odznaczać się wysokim i najwyższym poziomem artystycznym. I tak też jest w niektórych wypadkach. Są to jednak, niestety, padki sporadyczne. Bodajże w jednym z cepeliowskich sklepów w Łodzi oglądałem piękne, prawdziwe piękne koronki ludowe i hafty podhalańskie i inne oraz ciekawy zestaw ludowych polichromowanych rzeczy. Niestety, obok takich wyrobów kwitnie bujnie koszmarna łączka, a raczej zarasta chwastami ugór naszego pamiątkarstwa, którego symbolem mogą być np. lichtarze z kości jeleni. Odwiedzają nas turyści zagraniczni coraz częściej — niechże wywiozą z naszego kraju rzecz jeśli już nie piękną, to przynajmniej estetyczną. Kiedyś wywozili workami dobra naszej kultury, kupowane za psie pieniądze w „Desach", na bazarach i od prywatnych „kolekcjonerów". Co prawda nieco późno, ale ten proceder został już w dużej mierze ukrócony. Niech więc nie czują się biedacy pokrzywdzeni — nich Cepelia postara się dla nich o ładne, oryginalne pamiątki. W Polsce ostatnio coraz rzadziej chodzą po ulicach miast i małych osiedli niedźwiedzie. Świecznik z jelenich rogów niekoniecznie musi być symbolem naszej „ludowej" kultury.

Zdaję sobie sprawę, że temat, który powyżej poruszyłem jest trudny. „Trudny temat Cepelii" wałkowany jest przez prasę od lat, a u ludzi wrażliwych na wartości estetyczno-moralne budzi uczucia bardzo złożone. Etnografowie i handlowcy mają w tym względzie też swoje zdania, nie zawsze pozostające we wzajemnej harmonii. Niemniej temat wart jest dalszego wałkowania i może kiedyś, oby jak najszybciej, doczeka się pomyślnego rozwiązania, czego sobie i Wam życzę.

VI

Podsłuchane w eleganckiej kawiarni „Cafe-Italia" w pawilonie włoskim. (Bardzo wygodne fotele).

— Wiesz, Jadźka, przyjechał już Kazio, mieszka w hotelu...

— Znowu apartamencik?

— Tak. Kazio fajny facet. Żeby wszyscy dyrektorzy byli tacy.

— Poprzednim razem jak był to przez tydzień nie wychodził z hotelu. Baleciarz.

— Rozrywkowy facet. Wie co chce od życia. Jak trzeba.

— Słuchaj, Krycha, musimy do niego zadzwonić wieczorem...

Mówię do siebie: — Słuchaj Barszczewski, kiedyś ta twoja parszywa mania podsłuchiwania co szepczą między sobą ludzie a zwłaszcza panienki, wpędzi cię w niezłe tarapaty.

VII

Ja się może na tym nie znam, ale to co widziałem z wystawionej na Targach odzieży nie budzi mojego zachwytu. Ujałbym to tak: z modnych ubiorów to najsmaczniejsze były kiełbaski z rożna w jednym z kiosków, a my, szarzy ludzie, ...ucemy się ubierać nie szaro, ale estetycznie, modnie i tanio. Nadmieniam, że nie roszczę sobie praw autorskich do powyższej, złotej myśli. Osobiście od dwóch miesięcy szukam butów. Numer siedem. Nie na koturnie, a z leciutko podwyższonym obcasem. Lekkich, a nie przypominających przysłowiowe buty hiszpańskie, w których niejeden heretyk czuł się tak znakomicie, że co rychlej powracał na łono prawowitego kościoła. Butów modnych, wygodnych, tanich, i takich, które nosić może nie pierwszej już młodości mężczyzna, dbający nieco o swój wygląd zewnętrzny i o wygodę, pilnie poszukuję. I co? I kupić nie mogę. I czy to jest w porządku? Ja się pytam producentów? Produkujecie „modele" albo dla młodzieży, albo dla ćwoków spod Koluszek, którzy nie wiedzą, że apartamenty to też pokoje. A w czym ja mam chodzić? I w czym ma chodzić mój przyjaciel Jureczek Wilmański i mój przyjaciel Rysio Binkowski, nie mówiąc już o samym sekretarzu redakcji? Butów dla nas nie ma.

VIII

I tu muszę zacytować Tadeusza Dolata z „Gazety Poznańskiej", który w dniu otwarcia Targów Krajowych Wiosna-74 pisał:

„Na jakie wyroby czeka rynek wewnętrzny i czego spodziewają się po Targach Krajowych „Wiosna-74" konsumenci? Odpowiedzieć na to zasadnicze pytanie można w jednym zdaniu: klienci oczekują na wyroby dobre pod każdym względem. Nie wnikając w szczegóły dotyczące tego problemu, ale jednocześnie nie przesądzając niczego z góry, można wszakże awansem powiedzieć, iż zgodnie z zasadami obowiązującej strategii gospodarczej, przemysły rynkowe zaprezentują dużo wyrobów odpowiadających kryteriom nowoczesności. A także i to, że ich ocena będzie wyjątkowo surowa. Poczynając od decyzji, czy dopuścić wyrób do udziału w Targach.

Sprawy jakości artykułów zostaną poddane różnym badaniom w kilku formach. Będą np. przedmiotem zorganizowanego po raz pierwszy na Targach sympozjum środowiskowego, poświęconego sterowaniu jakością produkcji w wybranych dziedzinach. Tematyką sympozjum objęte będą: z przemysłu lekkiego obuwie oraz odzież z tkanin i dzianin, z przemysłu spożywczego koncentraty i przetwory mleczne, a ponadto szkło i ceramika dla gospodarstwa domowego. Inicjatywa ta prowadzona pod auspicjami Głównej Komisji Znaku Jakości, kontynuowana ma być na Targach Jesiennych w dalszych dziedzinach przemysłu.

Temu samemu celowi podporządkowana jest specjalna ekspozycja złożona z około 300 wyrobów zgłoszonych do konkursu „Produkujemy dla rynku — Merkury 83". Ma ona służyć aktywizacji podaży nowych, względnie zmodernizowanych wyrobów przemysłowych na zaopatrzenie rynku wewnętrznego z najbardziej wyróżniających się nowości ubiegłego roku".

Nic dodać, nic ująć — pełny optymizm, a ja jestem za optymizmem. Mam tylko dwa życzenia — w imieniu swoim i klienta. Oby towarów było jak najwięcej i żeby były jak najatrakcyjniejsze. A teraz wznieśmy wszyscy chóralny okrzyk: nie chcemy bubli: nie chcemy tandety; nie chcemy towarów niemodnych i nieestetycznych!

KAROL BARSZCZEWSKI

TEATR

KUBUŚ FATALISTA

Nie przerażajcie się Kubusiem
Że po buklaczek sięga znów
Że jak niesione w worku prosię
Chrząka nie mogąc znaleźć słów
Bo Pytia też pijana była
Kiedy wieściła losy państw
Z zadartą kiecką na trojnogu
Spowodowała więcej draństw

Niż Kubuś co
Przystojnie tak
Na koniu swym
Przemierza świat
W buklaczku ma
Zaklętą moc
I wróży nam
Przez rausz ad hoc
Co nas za rogiem czeka dziś.

Za rogiem ulic Więckowskiego i Zachodniej w Małej Sali Teatru Nowego czeka na nas „Kubuś fatalista".

Tekst piosenki otwierającej przedstawienie, który we fragmencie przytoczyłem, napisał reżyser spektaklu i autor scenariusza Witold Zatorski. Muzykę skomponował najciekawszy po Zygmuncie Koniecznym krakowski kompozytor Stanisław Radwan.

„Kubuś fatalista" jest luźną przeróbką scenicznej powiastki filozoficznej osiemnastowiecznego pisarza i moralisty Denisa Diderota.

Z lektury szkolnej — powinienem powiedzieć licealnej — pamiętam Diderota głównie z powieści „Zakonnica", której rzecz jasna zabroniono nam czytać. „Kubusia fatalistę i jego pana" oraz „Kuzynka mistrza Rameau" czyta się gorzej. Nieco nudne dywagacje filozoficzne rozpisane na dialogi pana i służącego, nie cieszyły się i chyba dziś też nie cieszą się zbytnią popularnośćcią u młodzieży. Zapewne do Woltera i Diderota trzeba dojrzeć, trzeba rozsmakować się w naiwnym filozofowaniu zabarwionym tak zwanym rubasznym dowcipem. Z przykrością muszę stwierdzić, że choć dojrzałem w pełni do powiastek filozoficznych i rozumiem co należy rozumieć, to smutek mnie ogarnia, że i dowcip jurny jakoś zwietrzał i filozofia zblakła...

Przyrównywanie Diderota do nieco starszego Woltera na nic się nie zda, ani „Kubuś fatalista" ani „Kuzynek mistrza Rameau" nie dorównują „Kandydowi". Diderot ma niemałe zasługi w tworzeniu encyklopedii, jest też autorem świetnego, do dziś aktualnego podręcznika gry scenicznej pt. „Paradoks o aktorze" no i „Zakonnica" filmowana i adaptowana wielokrotnie dla teatru oparła się działaniu czasu, ale powiastki zestarzały się, zwietrzały... Wiedzą o tym najlepiej Francuzi, ilekroć sięgają do tekstów osiemnastowiecznych pisarzy-filozofów biorą z nich wątek fabularny, kilka aforyzmów i usiłują w schemat powiastki wpisać jak najwięcej treści współczesnych, starając się usilnie aby rzecz była lekka i zabawna. Z moralizatorskich wywodów nie korzystają.

Witold Zatorski poszedł tropem Francuzów. Powiastkę mistrza Diderota „Kubuś fatalista i jego pan" przyrządził możliwie strawnie a więc: z oryginałem obszedł się... oględnie, wybrał kilka dialogów i sytuacji fabularnych, dołożył piosenki i rzecz całą przyprawił aluzjami do współczesności. Byłoby dobrze, byłoby świetnie gdyby nie nadmiar! Kto to powiedział, że od przybytku głowa nie boli? Oj boli, boli i to jeszcze jak!

Nie ma potrzeby grać Diderota „z przymrużeniem oka", sam tekst oryginału jak by go nie podać, zabrzmi dziś żartobliwie. Nie ma potrzeby — a przynajmniej ja nie widzę takiej potrzeby — aby aluzje do współczesności w rodzaju: „rok ten był ciężki... każdy kłos na wagę złota" specjalnie wygrywać. Jeśli do tekstu Diderota włoży się hasło „każdy kłos na wagę złota" to reakcja widowni jest murowana, po cóż więc przedobrzać?

Mówiąc o nadmiarze mam na myśli nie tylko zbyt obszerny scenariusz spektaklu, rzecz można było skrócić o pół godziny, ale także nieokiełznaną wyobraźnię sceniczną reżysera. Czegóż to Witold Zatorski nie wymyślił i nie zapożyczył pakując w jedną „beczkę śmiechu"!

Niektóre rozwiązania sceniczne sprawdziły się. Widownia szczególnie w pierwszej części przedstawienia bawi się świetnie, niemal tak jak aktorzy. Śmieszą pantomimiczne scenki jazdy Kubusia i jego pana na koniach, śmieszą grupowe inscenizacje obrazków: „w karczmie" i „na strychu", ale nudzą nadmierne przypisy czyli komentarze odautorskie, nudzą publiczność a aktorów jak sądzę, męczą.

Tak było np. w niezwykle długim epizodzie-relacji z romansu pani de Pommeraye zagranym przez Zofię Grązlewicz. Nagle do „beczki śmiechu" wchodzi smutny człowiek i opowiada całkiem serio historię swojego życia a później odśpiewuje song o niewiernej miłości. Publiczność zaskoczona milczy, później zaczyna się nudzić. Taką właśnie smutną dygresją w „Kubusiu fataliście" była opowiastka Zofii Grązlewicz.

Trochę mi ten spektakl przypomina dyplomowe przedstawienia studentów szkoły aktorskiej. Dużo ruchu, popis sprawności fizycznej i swobodne eksperymentowanie. Scena bez kurtyny, aktorzy na oczach publiczności wcielają się w kolejne role z zachowaniem jednego kostiumu, umowność gestu i sytuacji, kontakt z widownią w postaci biegania aktorów po sali, dialogowanie z foteli przeznaczonych dla publiczności, no i na koniec kanonada z korkowców.
Czy nie należałoby zrezygnować z niektórych popisów sprawności fizycznej na korzyść czytelności tekstu? Myślę, że z części bieganiny po widowni i dialogowania z pierwszego rzędu można by zrezygnować z pożytkiem dla spektaklu. A ze śpiewaniem w tym przedstawieniu jest tak, jak to zwykle bywa „trochę dobrze, trochę źle", sądzę że w niektórych przypadkach przymuszanie aktora do śpiewania przyniosło efekt niezamierzony. Dlaczego aktorzy dramatyczni muszą śpiewać? Dlaczego wszyscy? Choćby Bogusława Sochnackiego można było zwolnić z tego obowiązku.

Kubuś Sochnackiego jest jeszcze jedną dobrą rolą tego świetnego aktora. Jest także popisem jego umiejętności warsztatowych. Każdą sytuację sceniczną, każdy dialog prezentuje lekko i dowcipnie. Potrafi ukryć wysiłek fizyczny, pokonać zmęczenie i przez ponad dwugodzinny spektakl ani przez chwilę nie wychodzi z roli, ani przez moment nie widzimy prywatnego Sochnackiego, co się niestety innym aktorom zdarzało dosyć często.

Zacząłem recenzję od piosenki otwierającej spektakl, pozwolą czytelnicy, że i piosenką zakończę.

Pełni zapału jak pierwszaki
Uczmy się od Kubusia że
Rausz gniazdem jest różowych ptaków
Co mogą zdziobać troski twe
Że ledwie szampan zrzuci czapkę
Zasyczy białą pianą coś
Olśnione oko twe ogląda
Świat, który nie wie, co to złość!

STEFAN KUBICKI

UROK i PRAWDA SPONTANICZNOŚCI

Ciekawe, jak żywotny literacko (i dramaturgicznie, co w danym wypadku na jedno wychodzi) okazuje się mit o proroku, zbawicielu ludzkości. Ilu już twórców uległo pokusie ponownego sprowadzenia Chrystusa na ziemię, aby przeraził się razem z nami znikomością moralnego postępu i obudził sumienia obrazem zupełnie przerażających skutków opacznego pojmowania jego nauk, przez tych, którzy czują się do ich głoszenia powołani.

Taka konfrontacja ideału z praktyką życia jest zresztą artystycznie ponętna nie tylko w kategoriach religijnego mitu, gdyż profetyczny motyw może dobrze służyć jako literacki pretekst. Dowodem — sztuka Mrożka „Testarium" *), która odbiega od najczęściej poruszanej problematyki: „co by dziś powiedział Chrystus" i podobnie jak w opowiadaniu Janusza Głowackiego „Raport Piłata", przesuwa punkt ciężkości sprawy na kwestię: „co mieliby ludzie począć z prorokiem, gdyby się dziś pojawił?"

Mrożek nie ma na ten temat złudzeń i od razu zadaje pozornie absurdalne pytanie — jakim wyobrażeniom ludzkim musiałby odpowiadać prorok, upragniony, cudowny wybawiciel od wszelkich trosk i kłopotów, aby można było uwierzyć w jego prawdziwość. Odpowiedź brzmi żaskakująco: że jest jedyny, że nie ma oprócz niego kogoś drugiego, kto by obiecywał ściśle to samo. I, trzeba przyznać, jest w tym jakaś logika, wyprowadzona z samej niejako semantycznej istoty superlatywu. Bo jeśli (dopowiedzmy tu myśl Mrożka) ktoś lub coś jest „naj", to musi być jedyne, po prostu pojedyncze.

A tu właśnie pojawiają się dwaj identyczni prorocy, nie tylko podobni jak dwie krople wody, nie tylko o identycznym programie, ale i o takiej samej biografii, o tym samym sposobie myślenia i odruchach emocjonalnych. Słowem, jeden stanowi jakby lustrzane odbicie drugiego. Ci, co zapowiedzieli tłumom nadejście zbawcy, wpadają w zrozumiały popłoch. Wiedzą, że jeden z proroków musi być fałszywy, ale który? I co począć z tym „nadliczbowym"? Dla starych wyżeraczy, macherów od zaspokajania duchowych potrzeb tłumu, nie jest to oczywiście problem moralny, lecz jedynie kwestia taktyczno-techniczna. Skoro nie można pokazać tłumowi dwóch proroków, to może „zmagazynować" jednego jak konserwę, a może nawet i zabić?

W tej niestworzonej historii z pogranicza satyry i groteski jest mnóstwo świetnych sytuacji, jakie wynikają m. in. z wprowadzenia postaci Trzech Króli jako wypróbowanych ekspertów od spełnionych proroctw, jest wiele igraszki słownej, jest rodem z „Lejzorka Rojtszwańca" Ilii Erenburga, z przewrotną skrupulatnością moralną dokonany wybór skromnego łagodnego człowieka na narzędzie krwawej sprawiedliwości (bo jak w zakazanych tańcach Lejzorka najważniejsze jest, by odczuwać odrazę moralną wobec zła, które się czyni). Jak to często u Mrożka, pointa nie zawisa w próżni, lecz jest wypunktowana ostro i zdecydowanie — mord popełniony za pierwszym razem w imię wzniosłego celu, staje się nagle najłatwiejszym sposobem wyplątywania się z zagmatwanych sytuacji, ba! — można do niego nabrać smaku...

Utwór ten, drukowany po raz pierwszy w „Dialogu" w 1967 roku, ze względu na swoją zawartość intelektualną i na precyzyjnie stosowane słowo, wymaga z pewnością dużych umiejętności w podawaniu tekstu i z tej przyczyny wybór sztuki przez amatorów należy uznać za niezbyt szczęśliwy. Wyraźnie widać to w borykaniu się z trudnościami przez członków zespołu, z wyjątkiem aktora odtwarzającego postać Woźnego, Krzysztofa Rutkowskiego.

Sama inscenizacja sztuki dostosowana była chyba niezle do nieświetnych możliwości sceny przy ul. Wólczańskiej, widać było też, że reżyser przemyślał sposób operowania światłem i nagrana ilustracja muzyczna, choć niezbyt fortunna wydaje mi się na zakończenie kolęda z wyraźnie zrozumiałym polskim tekstem, co sprawę fałszywego proroctwa zawęziło do antychrześcijańskiego akcentu. W sumie — nie jest to sztuka na miarę aktorskich możliwości amatorów.

Siła studenckich teatrów w okresie ich największej świetności polegała, jak pamiętamy, na szczerości i autentyczności, na wyrażaniu tych, najczęściej aktualnych treści i tych nastrojów, które zyskują najbardziej na spontaniczności wykonania. Ale grano wówczas przede wszystkim teksty własne, wyrażające niepokoje, ambicje i tęsknoty studenckiego środowiska. I dzisiaj jest to chyba najwłaściwsza droga.

JERZY KWIECIŃSKI

*) Sławomir Mrożek „Testarium", reżyseria Antoni Bańkowski, scenografia Jan Zieliński, opracowanie muzyczne Wojciech Wiśniewski. Premiera w teatrze studenckim „Pstrąg".

U NAS w OLIMPII...

Odeszły w niepamięć bagniste łączki, wyliniałe pagórki, pasące się kozy. Bezpowrotnie znikł koloryt swojskości, nudy, wsiowy krajobraz. Jeszcze pozostały rzadko przycupnięte domki jednorodzinne, kolorowe pudełka altan i budek w ogródkach działkowych. No i nazwy ulic: Obywatelska, Nowe Sady...

Zajeżdżające autobusy linii 80, 69, 61 przywożą coraz to nowych podróżnych, którzy osłaniając twarze od wiatru śpieszą do nowej fabryki. Jeszcze po prawej stronie piętrzą się hałdy wyrzuconej ziemi, połyskują przypadkowe, zamulone jeziorka, pyka gdzieś ukryty za tymi hałdami spychacz, ale to już końcowa batalia, która ostatecznie zmieni ten niegdyś zagrodowy krajobraz.

Kiedy w kwietniu 1969 roku zjawili się tu pierwsi robotnicy, mało kto wiedział, jak będzie wyglądać ta część Łodzi po kilku latach. Mówiło się, że powstają wielkie zakłady dziewiarskie, nieliczni wiedzieli, że największe w Europie. Sądzono, że budowa potrwa co najmniej z dziesięć lat, a rozruch nastąpił już w lipcu 1972 roku. Zakładano, że znajdzie tu zatrudnienie przynajmniej 2000 osób, a obecnie pracuje ponad 3000. Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Kalina" szybko zdobyły sobie popularność, znalazły licznych odbiorców na produkowane przez siebie wyroby. „Kalina" zaczęła zdobywać rynek.

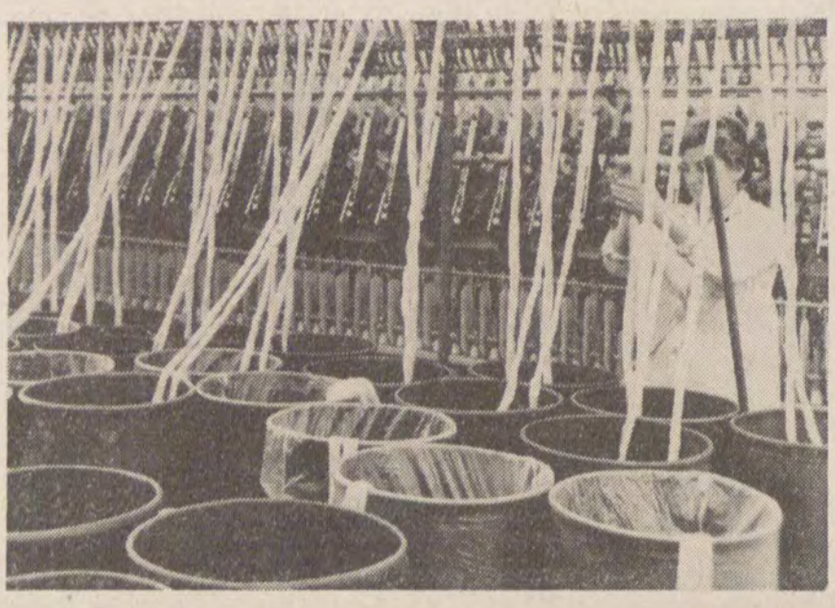

Fot. W. Parys

DYREKTOR NACZELNY MGR TADEUSZ GŁĘBSKI:

— Oczywiście, jak w każdym życiorysie, w życiu dawnej „Kaliny" były także trudne momenty, bo i ludzie, którzy tu przyszli, nieśli ze sobą niejednokrotnie gorzkie, nienajlepsze doświadczenia życiowe. Część kobiet rekrutowała się z OHP, część ze środowisk skłóconych z prawem. Jeszcze w ubiegłym roku fluktuacja kadr była zatrważająca: 1.068 osób zostało zwolnionych z pracy, z czego aż 75 proc. za samowolne opuszczanie stanowisk pracy. Z reguły były to dziewczęta w wieku 19—21 lat. Jest to wynik nieprzystosowania się tej młodzieży do pracy. W zakładzie nie znalazły dla siebie wzorów do naśladowania, nie spotkały starych, zasiedziałych pracownic z długoletnim stażem. Ogółem uległa wymianie jedna trzecia załogi. Wywiady w środowiskach, przeprowadzane przez dyrekcję zakładu, rozmowy z rodzicami i opiekunami nie na wiele się zdały: córka ma w domu wszystko, do pracy poszła, bo potrzebowała pieniędzy na kosmetyki...

Dziś sytuacja została prawie opanowana. Dla porównania: w I kwartale ub. r. zwolniono 400 osób, w tym roku zaledwie 62 osoby. W roku ubiegłym, na ogólną liczbę 1350 pracownic zatrudnionych na konfekcji, absencja dzienna wynosiła 60—80 osób, dziś do pracy nie zgłasza się zaledwie 5—8 kobiet. Nastąpiła wyraźna stabilizacja, z którą wiąże się wydajność i jakość pracy. Ale już w założeniu, zakład przy ul. Obywatelskiej był budowany z myślą o młodzieży, tu miała zdobywać ostrogi w dziewiarstwie, odbyć swój pierwszy chrzest.

JADWIGA LUDWICZAK — ROBOTNICA:

— Powinno być dużo lepsze i dokładniejsze obliczanie naszej pracy. Co miesiąc brakuje jakiejś paczki, które gdzieś giną. A przecież to nasza praca, za to później otrzymujemy pieniądze. Nikt nie potrafi odnaleźć zaginionego zlecenia ani numeru karty, nie wiem nawet czy ktoś szuka. Więc chodzimy same, interweniujemy u rachmistrza. A to do nas nie należy. Przyszłam tu z „Olimpii" z ulicy Piotrkowskiej, a tam takie rzeczy się nie zdarzały. Zakład z Obywatelskiej musi przejąć doświadczenia ze starej „Olimpii".

Załoga „Olimpii" zaczyna zdawać egzamin produkcyjny, gorzej natomiast przedstawia się sprawa ze średnim nadzorem technicznym. Ci ludzie o niewątpliwym stażu pracy, świetnym przygotowaniu zawodowym nie posiadają częstokroć przygotowania pedagogicznego. A potrzebna tu jest praca wychowawcza. Dlatego są tu tak częste konflikty. Bowiem nie wszystko da się załatwić za pomocą kar administracyjnych, regulaminowych. Nieraz trzeba być bardziej pedagogiem, niż majstrem czy kierownikiem.

Pisząc o „Olimpii" można powiedzieć, że istnieje już 25 lat, ale można także powiedzieć, że ZPDz. „Olimpia" ma zaledwie trzy miesiące. Powyższe stwierdzenie tylko pozornie pozbawione jest sensu. Stary zakład istniejący przy ulicy Piotrkowskiej nr 242 obchodzi swój srebrny jubileusz, natomiast połączone zakłady, tj. „Olimpia" i „Kalina" rozpoczęły wspólny żywot od 1 stycznia 1974 r. „Olimpia", znana w wysokiej jakości swoich wyrobów, zatrudniająca dobrych, wypróbowanych fachowców, będzie służyć radą i pomocą nowej, młodej załodze byłej „Kaliny". A jaki był cel połączenia.

DYREKTOR NACZELNY MGR TADEUSZ GŁĘBSKI:

— „Kalina", jako przedsiębiorstwo samodzielne, jeszcze w okresie procesu inwestycyjnego nosiła nazwę „Olimpia II" i była przewidziana do połączenia z „Olimpią", mieszczącą się przy ul. Piotrkowskiej nr 242. Powołano jednak odrębne przedsiębiorstwo, które egzystowało do 31 grudnia 1973 roku. Były w „Kalinie" spore osiągnięcia, ale były też kłopoty, co jest charakterystyczne dla każdego młodego organizmu gospodarczego. Połączenie oparto na więzi technologicznej. „Olimpia" korzystała i korzysta nadal w pełni z procesów barwiarsko-wykończeniowych byłej „Kaliny". „Olimpia" nie jest w stanie przygotować dla konfekcji wystarczającej ilości półfabrykatów, natomiast w dawnej „Kalinie" taka możliwość istnieje i dostarcza ona półfabrykaty dla „Olimpii". Chodziło też o wzmocnienie kadry kierowniczej na każdym szczeblu zarządzania. Ponadto połączenie sprzyja bardziej racjonalnemu wykorzystaniu placówek socjalnych, których jest w sumie 21, lepszemu wykorzystaniu powierzchni produkcyjnych, magazynowych, biur.

Prowadzi się kursy dokształcające dla pracowników już zatrudnionych. Szkoli się także nowo przyjętych, nie mających zawodu. Najpierw 2—3 miesiące przyuczania, potem tyleż stażu, a po zdaniu egzaminu kwalifikacyjnego — produkcja akordowa.

Obok tego, zarówno zakład z ulicy Piotrkowskiej jak i ten z ul. Obywatelskiej prowadzą dodatkowe, odrębne formy szkolenia pracowników. Oddział „Olimpii" z Piotrkowskiej angażuje młodzież z OHP, szkoląc ją u siebie cztery razy w tygodniu, natomiast zakład mieszczący się na Obywatelskiej korzysta z Zasadniczej Szkoły Odzieżowej podległej Kuratorium. Młodzi trzy razy w tygodniu mają zajęcia teoretyczne, a trzy dni spędzają w zakładzie.

Większość spośród 5.110-osobowej załogi „Olimpii" to młodzież, dlatego duże pole do działania ma tu ZMS. Na 18 istniejących kół wszystkie przystąpiły do współzawodnictwa o tytuł „Kolektywu Pracy Socjalistycznej". Na wyniki jednak trzeba będzie jeszcze trochę poczekać.

Młodzież zetemesowska dla uczczenia 30 rocznicy PRL zobowiązała się przepracować w czynie społecznym dla swojego zakładu i dla miasta 15.000 godzin. Da to dodatkową produkcję tak poszukiwaną zarówno przez odbiorców krajowych jak i zagranicznych.

DYREKTOR NACZELNY MGR TADEUSZ GŁĘBSKI:

— Połączenie stało się czynnikiem psychologicznym, który spowodował zryw młodych ludzi do lepszej, bardziej wytężonej pracy. Chcieli dorównać doświadczonej załodze ze starej „Olimpii". Według wyliczeń „Kalina" mająca bardzo młodą załogę — a średnia wieku w „Kalinie" — 24 lata, w „Olimpii" — 45 lat — notuje przyrost produkcji około 20 proc. więcej w stosunku do wyników z miesiąca grudnia ub.r. W lutym obserwujemy dalszy wzrost wydajności.

Nie będzie przesady, jeśli napiszę, że maszyny do „Olimpii" przywieziono niemal z całego świata. Są tu maszyny z firm: „Bentley Cotton", „Mark" i „Wild" z Anglii, „Schuber Salcez" i „Singer" z NRF, „Textima" z NRD, „FN" z Belgii, „Tatsumi Knitting Machine Co." z Japonii, „Trikomala" z Hiszpanii. Surowiec jest dostarczany zarówno od kooperantów krajowych jak i z importu, anilana z Anglii, trewira z Włoch, diolen surowy i kolorowy z NRF, KDK (przędza typu bouclé) z NRF, a także z ZPP „Syntex" w Łowiczu.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI — KOTONIARZ:

— Przędza krajowa nie ustępuje jakością przędzy importowanej, ale niestety, jest niedbale nawijana. Każdy węzełek jest puszczony do środka i nitka odwijając się zahacza, pęka. Są więc zrywy, spady, powstaje produkt drugogatunkowy. Jest to zwykłe niedbalstwo producenta.

W „Olimpii" najczęściej używa się słowa — milion. W milionach określa się zarówno produkcję jak i dochody. Plan ilościowy przewiduje wyprodukowanie w tym roku 9.550 tys. sztuk towarów. Zadania eksportowe wyniosą 40 mln. zł.

Największym odbiorcą jest Związek Radziecki, dalej — Czechosłowacja, Węgry, Bułgaria. A poza tym Stany Zjednoczone, Kanada, Francja, Norwegia, Austria, Anglia i Libia.

STANISŁAWA CZAPLA — ROBOTNICA:

— Nie zawsze otrzymujemy z farbiarni towar taki, jakiego byśmy sobie życzyli. Inną sprawą jest brak bezbarwnych nici do obrabiania dziurek. Takie bezbarwne nici rozwiązałyby nam wiele problemów. Obecnie otrzymujemy nici z ZPB. im. H. Sawickiej „Ariadna". Są one bardzo dobre, lecz kolorowe, trzeba bardzo uważać przy doborze. W przypadku nici bezbarwnych zmniejszyłoby się ryzyko pomyłki i wzrosła wydajność pracy.

ZBIGNIEW BIELEJEC — KOTONIARZ:

— „My ciągle, tu w starej „Olimpii", musimy jeszcze chodzić po przędzę do magazynu, a także do nas należy odnoszenie gotowego produktu do magazynu. W ten sposób tracimy cenny czas, powstaje niepotrzebny przestój. Myślę, że wystarczyłoby zatrudnić jednego, dwóch robotników, a wtedy czas, jaki tracimy na przynoszenie przędzy i na odnoszenie gotowych wyrobów — spożytkowalibyśmy na wyprodukowanie dodatkowych sztuk bluzek.

Połączenie tak ogromnych dwóch zakładów w jeden, musiało wywołać określone zmiany, dlatego też działanie nowej dyrekcji zmierzało do wyeliminowania zarówno kłopotów kadrowych jak i trudności produkcyjnych. Należało przecież zwiększyć tempo produkcji utrzymując istniejące tempo sprzedaży, rozpocząć natychmiastowe działanie integracyjne w sensie administracyjnym i społeczno-politycznym. Sądząc jednak po wypowiedziach pracowników zarówno dawnej „Kaliny" jak i „Olimpii", wszystkie te sprawy pomału ulegają normalizacji. Coraz częściej w rozmowie zamiast „tu, na Obywatelskiej", czy „tu, na Piotrkowskiej" — mówi się po prostu — „u nas, w „Olimpii".

EUGENIUSZ IWANICKI

MĘKI DOJRZEWANIA

Książka Ryszarda Binkowskiego „Latoś wesel nie będzie" (Wydawnictwo Łódzkie. Łódź 1974 r.) daje dużo do myślenia o sprawach pozornie odległych od jej treści. I sam już ten fakt bardzo dużo znaczy. Dlatego odrzucam wszelkie zarzuty „prymitywizmu", jakie można by postawić autorowi tych opowiadań, które tworzą w gruncie rzeczy powieść. Być może zresztą bez „prymitywizmu" pisania o swoich bohaterach niczego by Binkowski nie osiągnął. Ci ludzie przestaliby być tacy, jakimi są w rzeczywistości.

Od czasu do czasu społeczeństwo nasze jest wstrząsane jakimś procesem o morderstwo, zbiorowy gwałt, zbiorowe okrucieństwo. Świadomie, czy nie autor „Latoś wesel nie będzie" odkrywa obyczajowo-społeczne tło wyczynów już ekstremalnych. I wówczas musimy zadać sobie pytanie, a może by zamiast tak mocno karać za mocne przewinienia, zabrać się za uświadomienie młodym ludziom do końca tła ich kompleksów, powstałych niegdyś na gruncie nierówności społecznych, a głęboko do dziś zakotwiczonych w obyczajowości.

O czym marzy wiejski, nieporadny, dorastający chłopiec wobec pewnej siebie, spokojnej dziewczyny z miasta? O tym, żeby jej dosięgnąć. A dosięgnąć kobiety naprawdę może mężczyzna tylko wówczas, gdy nie dzieli go od niej żadna bariera psychologiczna. W przeciwnym razie — jak słusznie zauważa Binkowski wyzwala się w nim agresja I to często — zbiorowa. Wywodząca się zresztą z wiejskich opłotków, gdzie wszystko się zawsze podglądało, a więc o podłożu obyczajowym.

Książka Binkowskiego właściwie cała traktuje o mękach dojrzewania, a więc seksu i nieważne, że jest to dojrzewanie prymitywne. Temat to stary, jak literatura. W czasach piśmiennictwa salonowego, wyrażany pod osłoną wachlarza, rękawiczek, szpady i modlitewnika. W dobie rewolucji ludowej, wygląda on właśnie częściej tak, jak pokazuje to Binkowski, niż jak chcieliby może ludzie o bardziej wysublimowanym spojrzeniu. I nie jest to złe, że Binkowski zdobywa się na odwagę stanięcia pod zarzutem „prymitywu". Pisarz musi bronić środków wyrazu, jakimi się posługuje, jeśli służą one celowi. Jeśli nam coś ważnego uprzytamnia, wyjaśnia, przedkłada do namysłu.

Nie jest to oczywiście pisarstwo dojrzałe, ani doskonałe. Jest to pisarstwo, które się samo w procesie twórczym formuje. Czy będzie się rozwijać? Nie są tu potrzebne wróżby, bo to zawsze zależy tylko od twórcy. Od tego ile i jak będzie nad sobą pracować. Binkowski jest często nieporadny warsztatowo. Nie umie „zeszyć" swoich wizji tak, aby nie było widać „szwów". I łatwo tu odróżnić, co jest w jego pisaniu „prymitywem" potrzebnym, a co prymitywem, jako skutkiem zbyt małej sprawności czysto technicznej.

Można też dostrzec w niektórych partiach jego prozy to, co jest reliktem tradycyjnego pisania o wsi w naszej wielkiej i średniej literaturze tzw. „nurtu chłopskiego". A może to tylko sama wieś tak ciężko się zmienia w swoim obyczaju, tak wolno. Chciałabym być o tym przez Binkowskiego przekonana w następnej książce, gdzie by nie chodziło tylko o naskórkowe obserwacje. Nie ma bowiem wątpliwości, że Binkowski tę wieś „czuje" i może o niej napisać naprawdę dobrą książkę. O nowej — starej, polskiej wsi.

I niech się nie gorszą, nie odwracają od Binkowskiego porządne, dobre ciocie. Pokazał bowiem palcem coś niesłychanie ważnego — niedokończona jeszcze rewolucja obyczajowa na wsi, powoduje, albo może spowodować wynaturzenie obyczajów. Chwilowe, doraźne, czy jednorazowe, spowodowane niedojrzałością, czy nadużyciem alkoholu, jakimkolwiek ostrzejszym bodźcem, obojętne w gruncie rzeczy czym, istotny jest ten społeczny fakt.

Kiedyś, niedługo (ma temu między innymi służyć dziesięcioletnia szkoła średnia dla wszystkich równa) wiejski chłopiec nie będzie patrzył na miejską dziewczynę, jak na coś odmiennego od towarzyszki własnego dorastania. Kiedyś, niedługo, poziom naszej wiedzy, kultury zrówna się w skali społecznej — odejdą ze wsi wszystkie obyczajowe zaszłości. Binkowski będzie wówczas pisał inne książki, ale na dziś — pokazał tę ciągle jeszcze „przełamaną na pół" wieś. Jedną nogą wstępującą w erę komputerów, drugą nie mogącą do końca wyleźć z chałupy „babki" zawsze coś poradzącej dziewczynie. A że czasem i dziś przyjdzie śmierć? Ona i tak przychodzi.

Chciałabym tu nieśmiało zwrócić uwagę na jedno zjawisko. Zrecenzowałam już sporo książek Wydawnictwa Łódzkiego i widzę pewną prawidłowość budzącą niepokój każdego recenzenta. Prawie każda książka utalentowanego pisarza, a przynajmniej zdradzającego znamiona talentu, a więc książka traktująca o czymś ważnym, jest wydawana dobrze poniżej dziesięciu tysięcy egzemplarzy, a więc poniżej nakładu podstawowego. Tak zwane książki do czytania, niektóre naprawdę nic nie znaczące, miały nakłady znacznie wyższe. Trudno jest nauczyć ludzi myślenia, zwłaszcza kategoriami współczesności na pustym treściowo materiale.

BARBARA NAWROCKA-DOŃSKA

WIERSZE ANGO BOJANOVA

Ango Bojanov — bułgarski poeta młodego pokolenia ze środowiskiem poetów Łodzi związany jest szczególnie blisko. Łączą go bowiem osobiste przyjaźnie i częste kontakty z twórczością łódzkich poetów. Bojanov był m.in. gościem Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji — odwiedził Łódź także w tych dniach. Zajmuje się również przekładami, tłumacząc na bułgarski wiersze poetów polskich.

POWRÓT

To właśnie dom: wyszczerbione drzwi,
podłoga cicha, co wyschła z czekania.
Spieszno nam było, by pod dach nas przyjął,
gdzie mieszka pustka opuszczonych sprzętów.

Nie pyta, gdziem przebywał,
Zaprasza tylko, widząc cię uległą,
Na łóżko, w którym się rodziłem,
A teraz spełnię się mężczyzną.

Przełożył: Konrad Frejdlich

MODLITWA

Z daleka idę Boże...
Ale nie aż z tak daleka
Żebym nie chodził po ziemi
Pięknej ziemi Traków.
Za daleko śpieszę się Boże...
Ale nie aż tak daleko
Żeby mnie nie było wśród piaszczystych grzbietów Melnika.
I zsypują się moje dni
Jak chwile bez uzdy
Do miejsc gdzie ich krzyż przemienia się w żywy kamień.
Niech będzie kamień prawy i twardy,
Niech będzie podobny do szczytu,
Do szczytu i do zmęczenia
Bo ono jest potrzebne żeby odnaleźć prawdę.
Z daleka idę Boże
I droga mi każda klęska
Co mnie okradła z radości i szaleństwa
Żebym nie mógł oddychać wolnością
Z niej urodzony.
Nie widzę większego dostojeństwa
Jak wierzyć w swój krzyż i słońce,
Jak wierzyć w powietrze i słońce
Dokąd każdy człowiek idzie
Bo wtedy śmierci będzie trudniej
Bo wtedy widzę
Jak daleko ode mnie stoi śmierć.

Przekład: Mieczysław Michał Szargan

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

DLACZEGO ZMARŁ GOYA?

Goya był ciężko chory.

Pierwszy raz przeżył straszną depresję w 1778 roku, kiedy miał niewiele ponad trzydzieści lat. Po trzech latach poczuł się nieco lepiej i z właściwą sobie energią rzucił się w wir pracy twórczej. Ale kiedy znowu przeszło dziesięć lat przyszedł nowy rzut choroby: prawostronny paraliż, utrata poczucia równowagi, słuchu, częściowo mowy i... wzroku. Takie straszliwe brzemię cierpień zwaliło się na niego! Do tego przyłączyły się zawroty głowy, halucynacje i przywidzenia. Na kilka lat musiał przerwać pracę.

Zupełnie niedawno trafiono na dane, które pozwoliły Wiliamowi Niederlandowi z Wydziału Medycznego Uniwersytetu nowojorskiego wysnuć interesującą hipotezę.

Analiza chemiczna obrazów wielkiego Hiszpana wykazała, że najczęściej używał farby zawierającej silnie trujący węglan ołowiu. Nią właśnie posługiwał się genialny malarz, aby uzyskać różne odcienie szarości tak charakterystyczne dla jego dzieł.

Dlaczego jednak inni artyści współcześni Goyi uniknęli zatrucia ołowiem? Wszak i oni, nie zachowując należytych środków ostrożności, własnoręcznie mieszali farby nawet najbardziej toksyczne i stale oddychali ich parami.

Po pierwsze: nie wykluczone, że Goya był organicznie podatny na tę chorobę. Wszak znane są dziś takie przypadki. Po wtóre: był on wyjątkowo pracowity i twórczy. Duże portrety malował w czasie kilku godzin i zostawił po sobie ponad 1 800 obrazów.

Również i technika jego była niezwykła. Słynny pisarz francuski Teofil Gautier zostawił nam takie świadectwo:

„Jego (Goyi) metoda była równie niezwykła jak jego talent. Wyciskał farby z tub, rozcierał je gąbką, szczoteczką, szmatką lub innym przypadkowym „narzędziem". Następnie palcami ugniatał gęstniejącą farbę, jak murarz zaprawę, a później w szczególny, sobie właściwy sposób nanosił palcami kreski i cienie".

Podobne świadectwa pozwoliły Niederlandowi wysunąć wniosek:

„Właśnie w związku ze swoją zdolnością malowania z niewiarygodną szybkością Goya był skazany na zagładę, gdyż intensywniej wdychał i przełykał używane przez siebie toksyczne materiały".

Artysta mógłby zachowywać pewne środki ostrożności. Już wiele lat przedtem, na początku XVIII wieku, włoski lekarz z Padwy, który położył podwaliny pod wiedzę o chorobach zawodowych, Bernardino Romanzzini, pisał:

„Prawie wszyscy artyści, jakich znałem byli chorzy skutkiem używania farb, które nieustannie wdychali i dotykali".

Najprawdopodobniej gdyby nawet ostrzeżenie to było mu znane, Goya urzeczony sztuką nie mógłby przestrzegać zasad bezpiecznej pracy.

Z drugiej strony, doktor Niederland sądzi, że właśnie natężenie choroby mózgu w jakiejś mierze przedłużyło życie malarza. Ciężkie objawy niejednokrotnie zmuszały go do porzucania rozpoczętych obrazów i działanie trucizny na pewien czas przestawało mu zagrażać. Ale dość było, że choroba ustąpiła, aby Goyę ogarniała euforia pracy.

Tak więc być może ołów był sprawcą cierpień, jakie znosił autor „Okrucieństw wojny"?

(z: „Znanie siła")

ПОЛИТИКА

Przed 70 laty — w styczniu 1904 roku — ukazał się w Belgradzie pierwszy numer popularnej do dziś gazety — „Politika". Był to czas bujnego rozkwitu serbskiej, mieszczańskiej demokracji. Wychodziło wtedy w Belgradzie 11 gazet i 61 tygodników. Każda grupa i grupka chciała mieć swój organ prasowy „Politika" otworzyła swoje łamy dla wszystkich tych, którym zbrzydły drobnopartyjne spory, zatęchła atmosfera mieszczańskiego Belgradu, którzy chcieli podjąć walkę w imię ogólnoludzkich celów.

Pierwszy raz zamilkła „Politika" w 1915 roku, ukazała się znów po czterech latach 1 września 1919 roku. Następnie zamilkła ponownie w kwietniu 1941 roku, aby zacząć wychodzić po klęsce faszyzmu. Nowy numer „Politiki" ukazał się w październiku 1944 roku. Jej naczelny redaktor przez czas wojny walczył w szeregach partyzantów Tito.

Belgradzka „Politika" obchodzi w tym roku nie tylko 70-lecie swego istnienia, ale również 30-lecie służby dla socjalistycznej Jugosławii. Ukazuje się jednocześnie we wszystkich republikach. Tradycyjnie jest drukowana cyrylicą.

Obok codziennej gazety ukazuje się kilka dodatków: dziennik „Politika Express", tygodnik „NIN", „Tempo", „Bazar", „Ilustrovana Politika", „Politikin Zabavnik", dwutygodnik „Auto".

M.R.

Spadkowi produkcji przemysłowej w USA towarzyszą postępująca inflacja i wzrost drożyzny. Już w najbliższym czasie oczekuje się dalszych masowych zwolnień z pracy robotników, urzędników i fachowców technicznych z różnych gałęzi przemysłu. Choć brak jeszcze dokładnych danych, niemniej, na podstawie licznych enuncjacji, liczbę ofiar trudności ekonomicznych i kryzysu energetycznego szacuje się na około 175 tys. osób. Na razie.

W tej liczbie: około 75 tys. stanowią robotnicy przemysłu samochodowego, ogarniętego epidemią redukcji. Wśród pozostałych 100 tys. mniej więcej połowę stanowią zwolnieni z pracy w handlu samochodami oraz stacji obsługi, 30 tys. z sieci usług lotnictwa, moteli, przydrożnych restauracji, uzdrowisk i wreszcie około 20 tys. osób ze służb komunalnych.

Zwolnienia z pracy szczególnie dotkliwie odczuło Detroit. Długie kolejki pozbawionych zatrudnienia wiją się jak wąż przez cały podwórzec gmachu, w którym działa komisja ubezpieczeń od bezrobocia. Niektórzy mieli szczęście, ponieważ wysługa lat daje im prawo do korzystania z zasiłku przez okres całego roku. Nie jest to jednak typowe zjawisko dla ciężkiej sytuacji bezrobotnych. Na przykład 26-letni Gilbert Braun, robotnik z oddziału okuć w zakładach „Chryslera", został zwolniony z pracy na trzy dni przed upływem 3-miesięcznego okresu próbnego. Nie otrzyma ani centa.

Najbardziej wyraźne symptomy powagi sytuacji pojawiły się w końcu stycznia tego roku, kiedy to gwałtownie zmalała ilość sprzedanych samochodów, dziesiątki tysięcy robotników straciło pracę i drastycznie zredukowano ilość linii komunikacji lotniczej. Z początku Federalny Urząd Uzupełnień złożył oświadczenie, iż w grudniu ub. roku produkcja przemysłowa spadła o 0,5 proc. Ale nazajutrz ministerstwo handlu dodało, iż wzrost globalnej produkcji narodowej w ostatnim kwartale 1973 roku, uwzględniając inflację, osiągnął zaledwie 1,3 proc., co jest najniższym tempem od początku boomu w 1971 roku.

Możliwość spadku produkcji w początkach 1974 roku można było przewidzieć i bez kryzysu energetycznego. Ale obecnie USA stanęły przed groźbą spadku objętości globalnego produktu narodowego. Tymczasem nie widać żadnych oznak osłabienia inflacji. W czwartym kwartale ub. roku średnie roczne tempo wzrostu cen wynosiło 7,9 proc. Jest to najwyższe tempo na przestrzeni ostatnich 23 lat.

Podobnie jak większość Amerykanów, ofiary trudności ekonomicznych różnie oceniają przyczyny i powagę swego położenia. Relacje na ten temat podaje m.in. amerykański tygodnik „Newsweek":

„Tak, sądzę, że położenie jest poważne, a kryzys realny" — mówi były robotnik przemysłu samochodowego G. Wolk. 23-letnia stewardessa z „Pan-American', Alita Kennedy, która w liczbie 1200 pracowników tej kompa-

„POŁOŻENIE POWAŻNE A KRYZYS REALNY..."

nii została zwolniona z pracy uważa, że kompanie komunikacji lotniczej przebrały miarkę i, wykorzystując szczególne okoliczności, pozbyły się deficytowych linii. „Latałam na Boeingu-747, kiedy na pokładzie znajdowało się zaledwie 39 pasażerów" — dodała.

Z drugiej strony, były pilot Bruer uważa to wszystko za szachrajstwo. „Jaki tam kryzys — ucina krótko. — Po prostu granda. W tym roku paliwa jest więcej niż w roku ubiegłym". Inny były pilot, z „United Airlines', 33-letni P. Breen, z siedmioletnim stażem, jest zdania, że Zarząd Lotnictwa Cywilnego zezwala kompaniom lotniczym na zmniejszanie obsługi pasażerów w o wiele większym stopniu, niż wymaga tego 5-procentowe ograniczenie w dostawach paliwa.

M. Taylor, urzędnik z Florydy, także zwolniony z pracy, ostro obwinia kompanie naftowe. „To ich kombinacje. Nafta. Ubezpieczenia. To wszystko wielcy potentaci. Oni rządzą krajem. Mają dość pieniędzy, żeby kupić wszystko co zechcą i kogo zechcą". Taylora czeka szczególnie ciężki los, ma bowiem 60 lat. Choć nie ma dyplomu, jest inżynierem z 30-letnim stażem. „Gdzie bym nie poszedł — mówi niemal z rozpaczą — okazują duże zainteresowanie moją specjalnością dopóki nie spytają, ile mam lat."

B. Sollerowi, który w 38 roku życia został zwolniony z pracy w firmie transportu samochodowego, gdzie zajmował stanowisko dyspozytora, zaproponowano taką samą funkcję w zarządzie policji. Uposażenie dwukrotnie niższe. „Więc z czego mam żyć?' — pyta.

Na posiedzeniu kongresowej komisji ekonomicznej poirytowany senator Proxmeir powiedział do przewodniczącego Federalnego Biura Energetycznego: „Większość społeczeństwa wątpi w istnienie kryzysu energetycznego. Ludzie myślą, że kompanie naftowe zmówiły się, żeby podnieść ceny i dochody na rachunek konsumentów".

Niektórzy rządowi eksperci przyznają w rozmowach prywatnych, że trudności ekonomiczne oraz bezpośredni i pośredni wpływ deficytu energii zwiększą ogólną liczbę bezrobotnych jeszcze o mniej więcej milion ludzi.

Tak czy inaczej, wszyscy zaciągają pasa. Wszak zastraszające nagłówki gazet o niedoborze paliwa tylko częściowo przysłaniają fakt, że inflacja nadal trapi miliony amerykańskich konsumentów. Po opublikowaniu rządowego indeksu cen hurtowych za 1973 rok nieprzerwany wzrost kosztów utrzymania jest oczywisty. W ciągu roku ceny hurtowe wzrosły o 18,2 proc., czego nie notowano od czasów ciężkiego 1946 roku, kiedy to w kraju odczuwano totalne niedobory. W grudniu ub. roku wzrost cen nabrał szybkiego tempa: w ciągu jednego miesiąca podskoczyły one o 2,2 proc., a podwyższenie cen hurtowych prowadzi nieuchronnie do wzrostu cen detalicznych. W przemyśle piekarniczym przewiduje się podwyższenie cen chleba do 1 dolara za bochenek. Obecnie półtora funta chleba kosztuje 40 centów, ale ceny na pszenicę rosną.

Koszty utrzymania staną się więc niewątpliiwe jeszcze wyższe. Związki zawodowe wezmą z pewnością pod uwagę fakt rosnącej drożyzny przy zawieraniu nowych umów zbiorowych. Perspektywa niepowstrzymanej inflacji nasuwa pytanie: czy program kontroli cen i płac da jakieś pozytywne wyniki? Jeden z ekonomistów komisji państwowej wyraża opinię, że „nie jest wykluczone, iż przy pomocy kontroli udało się przesunąć inflację z roku 1973 na rok 1974, czemu nie trudno dać wiarę, uwzględniając rozmiary ubiegłorocznej inflacji".

I tak też się stało. Rosną także ceny produktów spożywczych. Przyczyna: niedostatek zapasów mięsa i pszenicy. Właśnie dlatego poszły w górę ceny detaliczne w ubiegłym roku i będą szły w górę również w bieżącym roku. Główny ekonomista ministerstwa gospodarki rolnej Don Paalberg powiedział korespondentowi „Newsweeku": „Oczekujemy, iż w pierwszym kwartale tego roku, w porównaniu z ostatnim kwartałem 1973, ceny znacznie wzrosną. Wołowina, wieprzowina, produkty mleczne, wyroby piekarnicze — wszystko podrożeje".

Warto wspomnieć, iż produkcja mleka zmniejszyła się nieomal do minimum, gdy w okresie wysokich cen mięsa mnóstwo mlecznych krów sprzedano na ubój, w dodatku niski poziom dochodów farmerów doprowadził do ruiny wielką ilość gospodarstw mleczarskich.

Problem stanowi także pszenica. Przewodniczący amerykańskiego Stowarzyszenia Piekarniczego, Bill Mead, uważa sytuację w tej dziedzinie gospodarki" za tak dalece napiętą, iż nie wyklucza nawet 200-procentowej zwyżki cen pszenicy na wiosnę tego roku". Również sytuacja w zakresie wyrobów przemysłowych nie jest wcale lepsza niż w przemysłach spożywczym i paliwowym. Rząd USA zezwolił już na podwyższenie cen stali, gumy, aluminium i ołowiu. W obliczu krachu programów ekonomicznych tylko nieliczni Amerykanie wierzą jeszcze w nowe oceny i prognozy. Zdezorientowane są nawet osobistości oficjalne. „New York Times", przytacza melancholijną wypowiedź pewnego wyższego urzędnika: „Nikt nam nie wierzy. Odnoszę wrażenie, że także i my już sobie nie wierzymy".

„Inflacyjna spirala, spadek tempa produkcji, dalsze zwolnienia z pracy — oto wizja tego roku" — pisze korespondent „Newsweeku".

Istotnie. Oczekuje się na dodatkowe cięcia w fabrykach samochodów, redukcje na stacjach benzynowych, w sferze usług, turystyki i wypoczynku. Pewien ekspert z ministerstwa pracy, jak informuje jedna z waszyngtońskich gazet, wyraził opinię, że „zwolnienia z pracy nastąpią też w innych dziedzinach gospodarki, a głównie w przemyśle gumowym, w przemyśle mas plastycznych i wyrobów chemicznych. A przecież — dodał — nie zdążyliśmy jeszcze zbilansować wpływu ujemnych zjawisk kryzysu w takich gałęziach przemysłu jak stal i włókiennictwo".

Nawet po zniesieniu embarga na naftę koła gospodarcze USA nie przewidują większych zmian w ogólnej sytuacji gospodarczej kraju.

JERZY CZECH

NASZ KOMENTARZ

ROZMOWY SEKRETARZA STANU — H. KISSINGERA W MOSKWIE dla niektórych obserwatorów stosunków radziecko-amerykańskich miały być swoistym barometrem. Przepowiadano, że kryzysy w zachodnim świecie zaciążyły niekorzystnie na tych stosunkach i że wobec tego moskiewska wyprawa Kissingera, przygotowująca wizytę Nixona, nie przyniesie rezultatów. Tymczasem złych proroków spotkał zawód. Wynika to zarówno z treści komunikatu o wizycie, jak też oświadczenia sekretarza stanu. Stwierdził on, że osiągnięto postęp w wielu sprawach i że „obie strony są zdecydowane kontynuować kierunek, zmierzający do poprawy stosunków, jako głównego czynnika, działającego na rzecz pokoju światowego".

Rozmowy moskiewskie w dużej części dotyczyły ograniczenia zbrojeń strategicznych. Mimo iż zagadnienie jest niezwykle skomplikowane, jak pisze komentator TASS, „istnieją możliwości osiągnięcia rozwiązań, możliwych wzajemnie do przyjęcia". Wysiłki w tym kierunku będą kontynuowane i to energicznie.

Spośród problemów międzynarodowych omawiano: przebieg konferencji genewskiej na temat bezpieczeństwa i współpracy, stan rokowań w sprawie redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowiej oraz możliwość pokojowego uregulowania sytuacji bliskowschodniej.

W toku rozmów wyrażono gotowość rozwijania wzajemnie korzystnych stosunków dwustronnych oraz współpracy m. in. na polu handlowo-gospodarczym i naukowo-technicznym.

Nie ma zatem żadnych podstaw do przypuszczeń, które towarzyszyły wizycie na łamach niektórych gazet amerykańskich, że perspektywa wzajemnych stosunków jest zagrożona. Na stwierdzeniu tego moglibyśmy poprzestać, ale nasuwa się nieodparcie pytanie: w jakim celu rozsiewano owe przepowiednie? Analiza autorstwa tych komentarzy przynosi odpowiedź: wyszły one spod pióra przeciwników ocieplenia stosunków amerykańsko-radzieckich. Uznali oni prawdopodobnie, że trudności gospodarcze świata zachodniego są okazją do zaatakowania porozumień czerwcowych. Atak był chybiony.

Z doniesień agencyjnych wiemy, że Kissinger bezpośrednio z Moskwy poleciał do Londynu. Poinformował on premiera Wilsona i min. Spraw Zagranicznych — Callaghana o przebiegu moskiewskich rozmów. Ale nie to było celem jego wizyty w stolicy. W Brytanii. Kissinger chciał zbadać, jak teraz mogą ułożyć się stosunki brytyjsko-amerykańskie. Nowy rząd w Londynie wprowadził bowiem do swych deklaracji kilka akcentów proamerykańskich.

I rzeczywiście — Kissinger znalazł w W. Brytanii znacznie pomyślniejsze warunki do współdziałania niż za rządów konserwatystów. Tak więc zaczynają się sprawdzać przewidywania, że gabinet labourzystowski będzie zmierzał do polepszenia swych stosunków z USA kosztem rozluźnienia więzów z EWG.

Miniony tydzień przyniósł także informację o zakończeniu sesji Ligi Arabskiej, która odbyła się w Tunisie z udziałem ministrów Spraw Zagranicznych państw członkowskich. Najistotniejszym jej postanowieniem jest przesunięcie kolejnej konferencji przywódców świata arabskiego z kwietnia na wrzesień.

Wyjaśnijmy, że Syria domagała się wcześniejszego terminu szczytu, ponieważ oczekiwała na nim akceptacji swojego stanowiska w sprawie rozdzielenia wojsk syryjsko-izraelskich. Jak już pisaliśmy, w Waszyngtonie mają być podjęte pośrednie rozmowy na ten temat. Odroczenie spotkania można komentować jako chęć nie wiązania rąk Syrii, która domaga się zobowiązania Izraela, że ewakuuje swe wojska z wszystkich okupowanych po 1967 r. terytoriów.

Innym postanowieniem sesji jest wyznaczenie 9 krajów (z 20) do dialogu z EWG na temat współpracy gospodarczej i technicznej. Przewiduje się, że pod koniec bieżącego roku lub na początku przyszłego zwołana zostanie konferencja z udziałem przedstawicieli krajów zachodniej Europy i krajów arabskich.

Z innych informacji bliskowschodnich zwrócimy uwagę na spotkanie ekspertów ZSRR, USA i W. Brytanii w Aleksandrii, na którym omawiano plan rozminowania Kanału Sueskiego. Prace te rozpocznie się w kwietniu i będą trwały ok. 3 miesięcy. Następnie przystąpi się do pogłębiania Kanału, gdyż dotychczasowa jego głębokość — 12,9 m — utrudnia żeglugę. Przewiduje się, że całość tej operacji pochłonie ok. 200 mln dolarów. Jest to mała suma, jeśli zważyć, że zamknięcie Kanału Sueskiego kosztuje gospodarkę światową do 8 mld dolarów rocznie.

I jeszcze o jednym wydarzeniu — tym razem na Półwyspie Iberyjskim. W ub. tygodniu wspomnieliśmy o kryzysie politycznym w Portugalii, dziś chcemy wyjaśnić jego tło.

Bezpośrednią przyczyną kryzysu jest bunt w części oddziałów wojskowych, w których ujawniło się silne niezadowolenie z sytuacji, jaka jest w koloniach portugalskich. Zwłaszcza w Mozambiku, gdzie rozwija się — ofensywa partyzantów. Część armii, zdając sobie sprawę z beznadziejności położenia wojsk rządowych, domaga się rozwiązań politycznych. Takie żądania przedstawiali dwaj generałowie, których właśnie zdymisjonowano. Po ich stronie opowiedziały się jednak niektóre oddziały wojskowe. Jeśli nawet rządowi uda się opanować sytuację — problem na pewno rychło powróci. Portugalii nie uda się już uniknąć wstrząsu, którego zapowiedzią są ostatnie wydarzenia.

WITOLD SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

KTO KUPI ROZRYWKĘ?

Myślę, że kupi po prostu publiczność. Ale żeby publiczność miała w czym wybierać, żeby — decydując się na kupno rozrywki — miała szerokie możliwości wyboru, trzeba ją zaprezentować menagerom.

Stąd — jak sądzę — ta proporcja w Polskich Targach Estradowych, jakie z inicjatywy Stowarzyszenia Muzyki Estradowej odbywają się w Łodzi. A proporcja jest taka — 40 giełdowych pokazów i trzy wielkie koncerty halowe dla szerokiej publiczności. Proporcja chyba słuszna — bo jak się rzekło, aby mogła kupić publiczność najpierw muszą kupić ci, którzy rozrywkę nam sposobią i sprzedają.

Targi mają być konfrontacją artystyczną i powinny stworzyć perspektywy współpracy wszystkich wojewódzkich agencji imprez artystycznych, stowarzyszeń kulturalnych — słowem wszystkich instytucji prowadzących działalność artystyczną.

Gdyby jeszcze — co jest oczywiście marzeniem — Targi stały się tradycyjnym dorocznym przeglądem, byłby to dodatkowy i niebagatelny czynnik wpływający na poziom sztuki estradowej. Po prostu świadomość, że każdego roku, wiosną trzeba będzie w Łodzi zaprezentować coś nowego i ciekawego — wpłynie ożywczo na — jakże często — skostniałe programy instytucji estradowych. Fakt, że co roku trzeba będzie skonfrontować własny poziom, własny program — z osiągnięciami konkurencji z innych ośrodków — wpłynie niejako automatycznie na poziom polskiej estrady, zrodzi zjawisko równania w górę... Normalnie, nikt nie będzie chciał „dać plamy".

Jak dotąd inicjatywa realizacji Polskich Targów Estradowych zyskała wysoką ocenę opinii publicznej. W imprezie współuczestniczy organ KL i KW PZPR „Głos Robotniczy", co samo w sobie jest już nadaniem targom odpowiedniej rangi. Jakie opinie prasy i publiczności będą po imprezie — trudno oczywiście przewidzieć, ale sądzę, że na tych targach publiczność dokona dobrych zakupów.

Na razie wszyscy podkreślają potrzebę i sens takich estradowych konfrontacji. Publicysta „Panoramy" oświadczył wręcz: „Łódzka impreza pozwoli być może akcentom merkantylnym odegrać rolę dominującego akordu, zamienić spiskowanie na formalne kontakty, „podkupywanie" w transakcje, panujący dotąd na niwie rozkoszny bałaganik w uporządkowaną formułę kupna i sprzedaży, poprzedzoną rozumnym wyborem...". Natomiast Roman Waschko obwołał łódzkie Targi na łamach 600-tysięcznego nakładu „Kulis" — „polskim MIDEM".

Impreza rzeczywiście będzie gigantyczna. Weźmie w niej udział około 650 wykonawców. Wymienię niektórych — tych najbardziej znanych. Oto wystąpi zespół „Thaiti Tropicale Granda Banda", Karin Stanek, Jerzy Grunwald i „En Face", balet „Le Soleil", kabaret „Elita", orkiestra Polskiego Radia i Telewizji pod dyrekcją Henryka Debicha, Bolesław Gromnicki, zespół wokalny „Pro Contra", kabaret „Salon Niezależnych", „Silna Grupa pod Wezwaniem", „Czerwone Gitary", Zofia i Zbigniew Framerowie, „Brekaut" z Mirą Kubasińską, Andrzej i Eliza... To oczywiście nie wszyscy, ale wystarczy tej listy obecności aby udowodnić, że zarówno menagerowie jak i publiczność otrzymują do wyboru właściwie wszystko co w polskiej rozrywce się liczy.

Trudno nawet sobie wyobrazić jak ten ogrom imprez wtłoczony zostanie w cztery dni, a raczej cztery doby, bowiem pokazy odbywać się będą także w godzinach nocnych. Wszystko jedno — to tylko 96 godzin. Będą to godziny wypełnione rozrywką po brzegi.

Jak ta impreza zaowocuje, jakie przyniesie efekty, jakie zmiany w dotychczasowej praktyce przedsiębiorstw estradowych — czas pokaże. Bądźmy dobrej myśli, po prostu dlatego, że jest w samej idei targów dobry pomysł i rozsądna kalkulacja. Sprowadza się ona do prostej prawdy, że rozrywka jest towarem potrzebnym ludziom, jak gazeta, chleb, koszula... Trzeba więc odbiorcy zaproponować dobrą, solidną rozrywkę i trzeba ją dobrze sprzedać.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

SAMOGWAŁT NA PRZEGUBACH

Była wiosna w środku zimy. Lał deszcz. Świat pracy łącznie z inteligencją biurową krył się pod parasolami i pomykał żwawo ulicami: pojedynczy osobnicy powodowali liczne zderzenia czołowe, gdyż mieli przez te parasole pomniejszony widnokrąg.

A deszcz lał nic sobie z tego nie robiąc. — Znaczy pogoda butelkowa. Ale nie gastronomiczna, bo już nie te czasy. Ta pogoda stała się przyczyną narodzin historii, która wstrząsnęła opinią publiczną jednego z miast wydzielonych Ziemi Łódzkiej.

Teraz nastąpi prezentacja bohaterów, aby każdy od razu wiedział, kto jest kto. A więc: Marian D., technik budowlany, żonaty, z jednym dzieckiem; Feliks Z., malarz pokojowy, też żonaty, ale bez dziecka; Henryk M., zbrojarz, stan całkiem wolny, bez zainteresowań odmienną płcią; Józef S., kierowca w stanie narzeczeństwa. Wiek mężczyzn wyrównany, oscylujący w granicach wieku Chrystusowego.

Miarowy plusk deszczu, ściekające leniwie po szybach jak łzy grube krople wprawiły młodych ludzi w stan przygnębienia, depresji psychicznej i frustracji.

— Ratujmy się, bo od tej ulewy karasie nam się w wątpiach zalęgną! — rzucił wyzwanie technik Marian D., a było to pod dudniącą w deszczu wiatą.

— Może by choć po ćwiartce na łeb — podjął temat inteligenty malarz pokojowy, Feliks Z.

— Najbliżej do „Powszechnej" — zauważył Józef S., narzeczony.

— Żadna knajpa! — uciął krótko najbardziej rozsądny, choć najmniej doświadczony życiowo, kawaler bez zainteresowań, Henryk M.

— Dlaczego?

— Bo w knajpie teraz nie tylko trują, ale i skórę zdzierają!

— W takim razie dajesz chatę i git!

Poszła zrzutka, w „monopolu" u wuja Tadzia nabyto litr „stołowej", po czym czwórka muszkieterów w wieku Chrystusowym wpakowała się do kawalerki Henryka M., gdzie na chybcika wypito alkohol z kieliszków, ale bez zagrychy, czyli pod spluja.

Plusk deszczu stał się cieplý, kojący, wzrósł apetyt, każdy złapał cug. Życie krótkie, a pić się chce! Poleciała następna zrzutka, lecz nie było chętnego zaopatrzeniowca. Zarządzono więc grę w marynarza, w wyniku której po zakupy udał się najbardziej obeznany ze znakami drogowymi, kierowca Józef S.

— Na zagrychę tylko ogórki! — rzucił za nim technik budowlany.

Józef przyniósł półtora litra „stołowej" i puszkę ogórków konserwowych. Kolejny litr spito w niecałą godzinę. I wtedy się zaczęło! Otóż gościnny gospodarz, zbrojarz bez zainteresowań płcią odmienną, zdradził nagle zainteresowania, łasząc się lubieżnie do krągłego w biodrach kierowcy, gdyż poczuł miętę. Ofuknięty przez kumpli, uderzył w bek, skarżąc się na trudności w motaniu wąsatych kochanek.

W muszkieterach zagrał romantyczny charakter narodowy! Ogarnęło ich głębokie wzruszenie, żal i współczucie wzajemne ozwały się w pijanych sercach.

— I ty się żalisz — jęknął technik budowlany. Marian D. — a co ja mam powiedzieć? Ja, który wciąż patrzę w twarz mojego dziecka, a ta moja Basia chichocze i szydzi, że jest ono podobne do młodego karawaniarza z przeciwka?...

— O, to, to! — wybełkotał malarz Felek. — Dziecko masz chociaż, a ja? Moja jest jałowa, a mnie, którym prawie całe to miasto wymalował, zarzuca uwiąd jąder!

— Jezus, Maria! — zaszlochał kierowca. — Nie będę się żenił, o nie! Moja Janka już teraz siedzi na kolanach prezesa, to co będzie potem?

Połączyły się męskie serca. Wznoszono okrzyki.

— Nic, tylko się powiesić!

— Panowie, nie ma na czym!

— Trzeba zademonstrować! Pokazać tym pindom, jacy jesteśmy!

— Będziemy się rżnąć! — wpadł na pomysł technik budowlany.

— Co kogo rżnąć? — wybełkotał, wyłażąc spod stołu lubieżny zbrojarz.

— Ty się będziesz rżnął! — krzyknęli pozostali. Feliks Z. wlał w usta zbrojarza setkę z pozostałego pół litra, wręczył mu kozik w miodowej oprawce i pomógł w ciachnięciu po przegubie. Podochoceni widokiem krwi kompani, dodając sobie odwagi setuchną, porżnęli się bez kolejności alfabetycznej. Rozjuszeni i zajuszeni, wyszli na ulicę, aby demonstrować. Na widok takiej rzeźni, emerytowana nauczycielka, Jolanta R., padła zemdlona, ale kolejarz Jan C. nie stracił trzeźwości umysłu i wezwał pogotowie.

Lał deszcz, z rzeźników wypływała krew z wódką i jęczała syrena. I byliby poumierali ci gitowcy na cyku, bo nie mogli się zmieścić w karetce razem z emerytowaną nauczycielką, lecz wezwano radiotelefonem drugą karetkę. Śpiewając: „Nie będą dziwki pluć nam w twarz", dotarli na miejsce. Przed drzwiami z lekka ocknęli i zamierzali zrobić odwrót, lecz sanitariusze przy pomocy ormowca wepchnęli ich do wnętrza. Kiedy jednak służba medyczna zaaplikowała im jodynę, rozjuszyli się ponownie. Krzyczeli, że nie po to chcieli umierać, żeby byle łapiduchy znęcali się nad nimi przed śmiercią. Jęli się miotać, zakrwawiając obficie całą stację, i rzucali niecenzuralne obelgi pod adresem personelu.

Członek ORMO wezwał na pomoc milicję, która natychmiast przyjechała, pomogła w opatrzeniu straceńców, po czym całe zajście zaprotokółowała. W trzy dni czterej zamachowcy stanęli przed Kolegium Karno-Administracyjnym, które zasądziło od nich po 3,5 tys. zł na rzecz PCK. Marian D. złożył dodatkowo oświadczenie, że wszyscy, jak tylko się podkurują, oddadzą honorowo po pół litra krwi.

Dobrze im tak! Jak się chce być gitowcem, robić sobie kiziu-kiziu i inne samogwałty na przegubach, to trzeba to robić po cichu, bo ORMO czuwa.

JAN GONTAL

LEWYM OKIEM

DO JEDNEJ BRAMKI

Kiedy babka piaskowa wsunięta do piekarnika gazowego z jednej strony spaliła się na sadze, a z drugiej została surowa, kiedy pod czajnikiem zgasł parę razy płomień i trzeba było długo wietrzyć kuchnię, a sąsiedzi zaczęli podpytywać czy aby któreś z nas nie chciało się świadomie pożegnać ze światem — uznaliśmy, że dalsze domorosłe próby dokręcania i odkręcania śrubek, dłubania nożyczkami i postukiwania tłuczkiem od moździerza nic już nie poradzą i że trzeba naszą kuchenkę gazową poddać gruntownemu remontowi. Wezwany po długich zabiegach specjalista oświadczył od progu, że przecież kuchenka działa już kilkanaście lat i że po prostu należy nam się nowa od administracji domu, w którym mieszkamy.

Wiszą na klatkach schodowych przeróżne informacje, a wszystkie w tonacji zakazów. Wiemy, że nie wolno śmiecić, trzepać dywanów nocą, pluć na podłogę, wyprowadzać psów, nastawiać głośno radia i telewizji. Co krok — po całym mieście, w parkach, na polach, na plażach i boiskach, wszędzie — tysiące a tysiące zakazów. Nie wiemy tylko nigdy, co nam przysługuje, jakie są nasze prawa, obok surowo choć nie zawsze skutecznie monitowanych obowiązków.

Tak więc przypadkowo dowiedziałem się o tym, co dziś wydaje mi się dość oczywiste: skoro płacę czynsz za użytkowanie mieszkania wraz z jego stałym wyposażeniem, to musi to być wyposażenie zdatne do użytkowania. Nie wypożyczyłbym przecież ślubnego fraka bez jednego rękawa, ani nie kupiłbym biletu — czyli prawa do użytkowania — na zepsuty tramwaj, stojący na bocznicy.

Nagłe ujawnienie przysługującego nam świadczenia ukrywane dyskretnie przez administrację przez blisko dwadzieścia lat, stało się z miejsca precedensem i prawie wszyscy lokatorzy w ciągu paru miesięcy wymienili kuchenki gazowe. I od razu powstał nowy problem: jak dostać się do piwnic? Całe przejście zastawione usuniętymi z mieszkań kuchenkami. To jest pieroński ciężar. Trzeba dwóch mocarnych chłopów, żeby toto zwlec z któregoś tam piętra przynajmniej na parter. Wymiana kuchenki przez administrację ogranicza się do zapłacenia rachunku za nową, którą lokator sam musi wyszukać, kupić, przekupić, przywieźć, zainstalować — demontując starą również własnym staraniem. Może tak i nie powinno być, może „regulamin" jest inny — ale kto go widział na oczy?

Psują się notorycznie zainstalowane w łazienkach piecyki gazowe o nader udziwnionej strukturze, a przy tym — straszliwie tandetne. Nie ma kwartału, żeby się to draństwo nie psuło. Facet, który przychodzi naprawiać piecyk łazienkowy, jest już nieomal domownikiem. Po jego wizycie wszystko działa przez dwa dni i przestaje. Podobno nie ma części takich, jak trzeba. Podobno ten system piecyków dawno zaniechany. Przemysł — jak wiadomo — żyje ostatnio z „nowości", zmienia byle szczegółik w takim czy innym produkowanym przez siebie urządzeniu, chwali się „nowością", a wszystkie będące w użyciu poprzednie jego wyroby stają się z miejsca skazane na dożycie, na szmelc. Już żadnej cząsteczki, sprężynki, muterki do nich się nie dostanie. Dziwna i rozrzutna zabawa.

Jeszcze dziwniejsze dla nas, permanentnie zdziwionych „najemców", jest — dlaczego kuchenka gazowa jest traktowana jako stałe wyposażenie mieszkania i podlega co jakiś tam czas niespornej wymianie przez administrację, a nie jest takim wyposażeniem piecyk łazienkowy albo na przykład rezerwuar w ubikacji. Cóż to za subtelne kryterium odróżniające? Rezerwuar też ma jakiś swój normatywny wiek do przeżycia — czytaj: do przerdzewienia marnego żeliwa — po którym, mimo najbardziej pieczołowitej konserwacji, przestaje się nadawać do użytkowania. Był wkalkulowany w czynsz, czy nie był?

Może i nie był, ale — powtarzam — niech nam ktoś wyraźnie i bez przymrugiwań powie, co należy się nam, a co od nas. Przestańmy strzelać do jednej bramki, to żadne zwycięstwo. I wreszcie — kto zabierze tych kilkanaście starych gazowych kuchenek, spiętrzonych w piwnicznych korytarzach? Akcja „porządek" trwa!...

ĆWIEK

SPORT

TRĄBKA KOŁO UCHA

Byłam świadkiem dyskusji o sporcie. Takie dyskusje odbywają się wszędzie: w tramwaju, w rodzinnym gronie, w biurze, na imieninach, a czasem — nawet na randce. Tym razem była to dyskusja nietypowa, bo nietypowi byli jej uczestnicy. W gronie dyskutujących znaleźli się: sportowiec, kibice ze stażem, kandydaci na kibiców i grono nobliwych, starszych pań. Była to dyskusja nietypowa, bo młodzi pytali o zarobki sportowców, a starsze, nobliwe panie — o pryncypia. Interesowała je wychowawcza rola sportu, zdrowia i kondycja sportowców, ich wysiłek i praca, czyli sprawy, które powinny głównie interesować kibiców.

Po długich rozważaniach dyskutanci doszli do wniosku niemal epokowego: sport nie może istnieć bez kibiców. I to niemal epokowe odkrycie pociągnęło za sobą następne. Kibic jest istotą nieznaną. Ale przecież coś niecoś o nim wiemy. Pije wódkę na stadionie, rozrabia, wrzeszczy w sposób nieodpowiedzialny, trąbi na straszliwych instrumentach w uszy sąsiadów, wybiega na płytę boiska, demoluje po meczu autobusy MPK. A w ogóle — wzdychano — dawniej to byli prawdziwi kibice.

Skąd się wziął ten totalny upadek obyczajów kibica?

— To wszystko przez Wyścig Pokoju — powiedział wytrwały kibic i tym stwierdzeniem wywołał poruszenie słuchaczy. —

— Wszystko przez telewizję — przerwała mu dostojna, starsza pani. — Jak mój zięć ogląda z kolegami mecz w telewizorze, to sobie zawsze popijają.

— A co robić na stadionie, kiedy zimno? — zaoponował młody człowiek. — Herbaty nie podają, najwyżej sezamki i dropsy. A mecze są kiedy czasem i śnieg leży na boisku.

Ciągle jednak brakowało odpowiedzi na pytanie: skąd się wziął totalny upadek obyczajów kibica? Czy rzeczywiście dawniej kibice byli lepsi? A jeśli tak, to dlaczego dokonała się taka niekorzystna zmiana?

Znacznie zwiększyła się pojemność widowni i to w sensie dosłownym i przenośnym, tej na stadionie i tej przed telewizorami.

Masowa widownia coraz częściej i wyraźniej domaga się od sportu przede wszystkim widowiska, w które kibic mógłby się angażować emocjolanie.

„Teoretyczne i ideowe koncepcje sportu — stwierdza Zofia Ciupak w książce „Sport w społeczeństwie współczesnym" **— obce są podstawowej masie kibiców. Występują one jedynie w formie ogromnie uproszczonej, np. w formie wzruszenia z racji zwycięstwa czy porażki swoich drużyn."**

Kiedy socjologowie przeprowadzali badania widowni sportowej w Puławach, zapytali o motywy uczestnictwa w sportowych imprezach. Okazało się, że dla wielu tamtejszych kibiców była to sprawa nie tyle sportu, co towarzyskich ambicji. Być na stadionie znaczyło dla wielu z nich liczyć się w tamtejszej społeczności. **„O czym jutro rozmawiałbym w pracy"** — powiedział jeden z pytanych. A inny wyjaśnił: **„Na stadionie spotykam się z kolegami, nie mogę pozostać w tyle".**

Już choćby z tych badań socjologicznych wynika, że analizy zmian zachodzących na widowniach sportowych boisk nie wolno odrywać od przemian, jakie zachodzą w całym społeczeństwie.

Ostatnio coraz częściej mówi się o tym, że dla prawidłowego funkcjonowania sportu potrzeba świadomych kibiców, którzy potrafiliby ocenić wysiłek sportowca a nie tylko wynik. Ale co się robi, aby mieć takich kibiców?

Nie bez przyczyny cytowałam uprzednio fragmenty książki „Sport w społeczeństwie współczesnym". Książka ta ukazała się w nakładzie 2000. Ilu więc działaczy sportowych i organizatorów życia sportowego mogło ją przeczytać? A ilu kibiców?

Ostatnio sporo mówimy o tym, jaka jest sportowa widownia. I to dobrze. Źle natomiast, że nic dla tej widowni nie robimy, że nie staramy się na nią oddziaływać. A przecież możemy. Wydawanie pocztówek ze zdjęciami sportowych idoli już nie wystarcza.

BOGDA MADEJ

„LOS SZCZĘŚCIA"

Powieść „Los szczęścia" czyta się jednym tchem, jak kryminał. Mamy tu treszta morderstwo, jako punkt wyjścia, mamy śledztwo i podejrzanego. Nie jest to jednak powieść kryminalna. Bohater — Jack Bennet, młody, niedoświadczony chłopak, relacjonuje kolejne, dramatyczne wydarzenia w których przyszło mu uczestniczyć. A więc śmierć Murzyna, na którego napadł wspólnie z bratem — bliźniakiem, nieco tajemnicza śmierć brata, miłość do pięknej dziewczyny — Murzynki, konflikt z matką rasistką. Relacja Jacka jest prosta, miejscami prymitywna, chłopak nie umie poradzić sobie z problemami, które widzi tylko powierzchownie. Trudno nawet powiedzieć, czy tragiczne doświadczenia wyciśną na nim jakieś trwałe piętno. Buntuje się przeciwko rodzicom, ale kiedy ukochana dziewczyna go odtrąca, potulnie wraca do domu.

E. R Braithwaite pokazał w swojej powieści rasizm, ale rasizm w wydaniu europejskim. Autor jest angielskim Murzynem. Pracuje jako inspektor do spraw opieki nad dzieckiem w Radzie Miasta Londynu i można przypuszczać, że w „Losie szczęścia", gorzkiej powieści o rasiźmie, izolacji Murzynów i skomplikowanych stosunkach między białymi i czarnymi ludźmi, skorzystał z własnych przeżyć i doświadczeń. Jeśli jego powieść czyta się jednym tchem, to jest to nie tylko zasługa intrygującej fabuły, ale też rzetelnego warsztatu pisarskiego Braithwaite'a. Sięgnął do modelu powieści tradycyjnej, napisał rzecz „do czytania", ale jest to powieść, w której banalny schemat posłużył do przedstawienia specyficznych problemów współczesnego społeczeństwa Anglii.

E. R. Braithwaite — „Los szczęścia", przekład R. Grzybowski, PIW. Warszawa 1974, str. 208. cena zł 25.—

Z DZIEJÓW SZTUKI

Nim powiemy o książce, trzeba najpierw powiedzieć o jej autorze, bowiem nazwisko Maxa Dworaka może niewiele mówić szerszemu ogółowi czytelników, z wyjątkiem historyków sztuki. Max Dworak był profesorem historii sztuki i kierownikiem II Katedry Historii Sztuki w Instytucie Austriackich Badań Historycznych, z którym był związany od roku 1895 do roku 1921, to znaczy do momentu przedwczesnej śmierci. Umarł mając lat 47. Ten wybitny uczony i pedagog austriacki, z pochodzenia Czech, był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli tzw. wiedeńskiej szkoły historii sztuki. Przez pewien czas posługiwał się w swej pracy metodologicznymi założeniami stworzonymi przez poprzedników, potem stworzył własną koncepcję badań dziejów sztuki, polegającą na ujmowaniu historii sztuki jako dziejów prądów umysłowych. Z dzisiejszej perspektywy metoda Maxa Dworaka jest już jedną z klasycznych metod badawczych. Urodził się w czerwcu 1874 roku, tak więc wydana obecnie książka „Max Dworak i jego teoria dziejów sztuki" poprzedza setną rocznię jego urodzin.

Książka ta jest wyborem jego artykułów poświęconych zagadnieniom historii sztuki. Rozpoczyna ją praca o malarstwie katakumbowym, kończą rozważania o malarstwie El Greco. Można przypuszczać, że Lech Kalinowski, który dokonał wyboru prac Maxa Dworaka przygotował tę książkę głównie dla historyków sztuki. Świadczy o tym również niewielki nakład. Jeśli jednak książka trafi do czytelników profesjonalnie nie związanych ze sztuką, z pewnością umożliwi im szersze spojrzenie na sztukę malarską i to nie tylko tę, która na trwałe została w historii.

„Max Dworak i jego teoria dziejów sztuki" — wybór i posłowie Lecha Kalinowskiego, PWN, Warszawa — 1974, str. 578, cena: 64.— zł.

SŁONECZNA MIŁOŚĆ

W serii Dzieł Pisarzy Skandynawskich ukazała się książka, zawierająca dwie niewielkie powieści Björnstjerne Björnsona — „Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza" i „Marsz Weselny". Autor należy do klasyków literatury norweskiej, był poetą, powieściopisarzem, dramaturgiem i cenionym publicystą. W roku 1903 za całokształt twórczości otrzymał nagrodę Nobla. Był reprezentantem okresu zwanego w literaturze skandynawskiej romantycznym realizmem. Oba utwory, prezentowane przez Wydawnictwo Poznańskie, a trzeba dodać, że „Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza" miało już 4 polskie wydania, zaliczane są do arcydzieł literatury norweskiej. Oba związane są z ludowym nurtem poezji norweskiej i tradycjami historycznymi, które w twórczości Björnsona odgrywały istotną rolę. W pięknej, bardzo lirycznej formie autor opisuje miłość dwóch młodych wieśniaków norweskich. W literaturze krajów skandynawskich często stykamy się z bohaterami uwikłanymi w tragiczne konflikty moralne, z których nie widzą wyjścia, wierząc, że ich los jest zdeterminowany i od nich samych niezależny. Surowa, groźna przyroda jest nierozerwalnym tłem tej psychicznej szarpaniny. Proza Björnsona jest liryczna, ciepła, optymistyczna. Takie śliczne obrazki, jakże odmienne od ponurej atmosfery wielu skandynawskich powieści, prezentowanych nam przez Wydawnictwo Poznańskie.

Björnstjerne Björnson — „Dziewczę ze Słonecznego Wzgórza", przekład F. Mirandola, Wydawnictwo Poznańskie — 1974, str. 160, cena: 20,— zł.

„ECHNATON WŁADCA EGIPTU"

„Pierwszy indywidualista w dziejach", „najbardziej niezwykła postać Starożytnego Wschodu", „chorobliwy, wstrętny despota, niepohamowany w myślach i czynach", „zwariowany epileptyk, który wyszedł z piekła, aby zniszczyć legendę o Ozyrysie", „być tak mądrym, jak on — znaczyło w owych czasach ściągnąć na siebie nieszczęście"... — te sprzeczne opinie dotyczą jednej tylko osoby — faraona Amenhotepa IV inaczej Echnatona, męża słynnej piękności Nefertiti. Po dziś dzień wśród egiptologów istnieją kontrowersje na temat tej postaci. Jedni odsądzają go od czci i wiary, inni uważają za najinteligentniejszego spośród wszystkich faraonów. Echnaton był bohaterem popularnej u nas powieści Miki Waltariego „Egipcjanin Sinuhe". Jest także bohaterem powieści Gieorgija Gulii „Echnaton władca Egiptu", której drugie wydanie przygotował ostatnio Czytelnik.

Akcja powieści Gulii dzieje się w roku 1347 p.n.e., to jest w okresie poprzedzającym śmierć faraona. Prawdopodobnie i to wydanie powieści Gulii szybko zniknie z księgarni, jako że temat frapuje wielu czytelników. A powieść „Echnaton władca Egiptu", poprzedzona długotrwałymi studiami autora nad epoką, jest rzeczywiście pasjonująca.

Gieorgij Gulia — „Echnaton władca Egiptu", przekład St. Niewiadomski, Czytelnik, Warszawa — 1974, str. 439, cena: 33,— zł.

„BITWA MILCZENIA"

„Kiedy w roku 1940 hitlerowcy zajęli Francję, francuscy pisarze mieli do wyboru albo współpracę, albo milczenie. „Editions de Minuit" założono w tym celu, aby mogli mimo wszystko wypowiadać się potajemnie, bez wiedzy wroga" — tak zaczyna swoją książkę „Bitwa milczenia" Vercors — (prawdziwe nazwisko Jean Bruller), utalentowany rysownik i pisarz znany polskim czytelnikom z tomów opowiadań, m. in. „Milczenie morza", „Oczy i światło" oraz powieści „Tratwa Meduzy".

„Bitwa milczenia" to opowieść o działalności podziemnego wydawnictwa „Editions de Minuit", które w historii francuskiego ruchu oporu odegrało niebagatelną rolę. Warto przypomnieć, że pierwszą książką, jaka ukazała się w tym wydawnictwie było „Milczenie morza" Vercorsa. Książka ta odegrała przełomową rolę wśród francuskich środowisk intelektualnych, wzywając je do milczenia, okazała się silniejsza od oficjalnej, dysponującej wszystkimi środkami techniki propagandy hitlerowskiej. Obecnie Vercors w „Bitwie milczenia" powraca do tamtych czasów, dając ich literacki obraz, odtwarzając na kartach powieści historię milczącej walki z faszyzmem.

B.M.

Vercors — „Bitwa milczenia", przekład Marcina Króla, Czytelnik, Warszawa — 1974, str. 372, cena: 22,— zł.

FILM

MECHANIZM SUKCESU

Melodramat gangsterski to chyba najwłaściwsze określenie największego szlagieru ekranowego ostatnich lat, jakim jest „OJCIEC CHRZESTNY" w reżyserii Francisa Forda Cappoli; mieści się w nim zarówno poetyka tego filmu i jego treściowa zawartość jak i konsekwencje z nich wynikające. Powszechnie, także u nas wiadomo, że film ten jest adaptacją powieści Maria Puzo autora dwóch książek, które mu sławy nie przyniosły i trzeciej, która uczyniła go bardzo bogatym człowiekiem. Opublikowane w miesięczniku „Ameryka" (czerwiec 1973) zwierzenia Włocha z pochodzenia, pana Puzo, donoszą o jego perypetiach rodzinnych i zawodowych i drodze twórczej, ale to co w nich najciekawsze to kulisy tak literackiego jak i filmowego byznesu amerykańskiego. Mario Puzo pisząc w 1966 roku konspekt powieści o mafii zakładał, że musi stać się ona bestsellerem, gdyż zawiera wszystkie naukowo zanalizowane jego cechy. Odrzucany przez wiele wydawnictw konspekt dla jednego, który cechy owe dostrzegł, stał się dolarodajnym źródłem, napisana dwa lata później powieść przyniosła miliony — do końca 1972 roku wydano w USA „Ojca Chrzestnego" w 11 milionach egzemplarzy i przetłumaczono na ponad trzydzieści języków. „Paramount" nabył prawo do ekranizacji za 2 miliony dolarów, a wpływy kasowe w pierwszym roku eksploatacji przekroczyły 120 milionów, bijąc bezapelacyjnie ustanowiony przed trzydziestu laty przez „Przemineło z wiatrem" rekord.

Mimo sukcesu powieści prace nad filmową adaptacją przebiegały dość dramatycznie. „Paramount" musiał pertraktować z bossami Ligi Italo-Amerykanów, którzy dopatrywali się w książce negatywnego obrazu środowisk włoskich w USA i zażądali pewnych zmian. Jak zwierza się sam Puzo „kilku bardzo sławnych reżyserów odmówiło współpracy przy realizacji „Ojca chrzestnego", bo temat uznali za niemoralny, rzekomo „gloryfikujący przestępstwo i przestępców". „Paramount" zaś nie chciał wyrazić zgody na powierzenie tytułowej roli Marlonowi Brando jako aktorowi, którego przygasła sława nie gwarantowała filmowi sukcesu i dopiero, rzecz niepraktykowana w przypadku wielkich gwiazdorów, czyli próbne zdjęcia przekonały opozycjonistów. Realizację filmu powierzono ostatecznie Francisowi Cappoli, reżyserowi mało, jak na hollywoodzkie stosunki znanemu, lecz znakomitemu scenarzyście. Kierownictwo produkcji i kampanię reklamową powierzono Robertowi Evansowi, który wcześniej wylansowawszy „Love story", mógł zapewnić również sukces „Ojcu chrzestnemu". Efekty tych zabiegów już znamy i oglądając „Ojca chrzestnego" dostrzegamy w filmie tym zwierciadło tego czym jest Hollywood — miejsce, gdzie sukces można zaplanować i osiągnąć, jeśli zna się naukowe zasady.

Kariera „Ojca chrzestnego" to wykorzystanie tych cech, które skupia w sobie zawsze przez publiczność ceniona konwencja melodramatu, połączona jednakże z elementami silnego dreszczu, który niesie gangsterski temat, wzbogacony obrazami okrucieństwa i zbrodni, których kino obecne nie tylko nie tuszuje, ale eksponuje ku uciesze i satysfakcji widzów. Kariera „Ojca chrzestnego" to sukces świetnego warsztatu, w którym jednak nic z nowatorstwa, a wszystko z wypróbowanych, dobrych hollywoodzkich sposobów filmowego opowiadania i inscenizacji. To role aktorskie, wśród których ani jednej opuszczonej — od czołowych postaci po epizodyczne, stara, dobra cecha amerykańskiego kina. To wreszcie muzyka skomponowana na gościnnym występie przez Nina Rotę — niby drobiazg a jak ważny dla filmu, którego bohaterami są amerykańscy Włosi. Gdyby jednak wyliczone tu cechy były generalną receptą na ów sukces. „Ojciec chrzestny" nie chodziłby w pojedynkę; jego przyczyn szukać zatem należy również gdzieś indziej.

Sensacyjność samego tematu nie jest ani w dawnej, ani we współczesnej kinematografii amerykańskiej i zachodnio-europejskiej czymś nowym. Wiedza o temacie pozostaje na tym samym piętrze świadomości, z jaką przychodzimy do kina, znane są mechanizmy wewnętrzne mafii, jej układy z konkurentami, współpraca z oficjalnymi władzami, jej zbrodnie i wielkie interesy. Powstawały zresztą filmy drapieżniej sprawy te odsłaniające, tak było w dawnej „czarnej serii gangsterskiej" lat trzydziestych i czterdziestych, tak wyglądają współczesne „bullittopodobne" propozycje. Tajemnica wydaje się polegać na przypisaniu gangsterskiemu tematowi legendy, która skonkretyzowana w sadze Rodziny fascynuje złem. W mitologii zaś zło ma swój inny, niż potoczny wymiar. Owo zło jest jednak w filmie Cappoli niezwykle przewrotne, bo budowane na kontraście zbrodni i „interesów" z niezwykłym ciepłem rodzinnym, w którym żyją poszczególni „mafiosi", równoważy się w sposób niepokojący z sympatią, jaką wbrew wszystkiemu bohaterowie tej legendy budzą. Co więcej, w obliczu związków, solidarności, znakomitości działania Rodziny film zdaje się przenikać nostalgiczna tęsknota za „dobrą robotą". Charakterystyczne są tu dla sprawy niektóre amerykańskie opinie, że autor powieści Mario Puzo sam będąc „mafioso", napisał „pracę zleconą" dla Cosa Nostra, dementowane później przez analizę książki dokonaną na polecenie tygodnika „Newsweek", a wykazującą, że wszystkie fakty zawarte w „Ojcu chrzestnym" Puzo zaczerpnął z prasy amerykańskiej lat 1940—50, zaś mafia poznała książkę i wyraziła jej uznanie, gdy ta była już znana.

Nawet ograniczając znajomość „Ojca chrzestnego" tylko do jego filmowej wersji nietrudno wyobrazić sobie, że film ten jest nosicielem pewnych nastrojów silniejszym niż jego pierwowzór. Urodzie filmowego wesela na przykład nie może dorównać literacki opis; obliczona, z talentem zresztą, na efekt gra Marlona Brando, doskonałość kreacji Al Pacino przydaje ich postaciom zrozumienie i sympatię, dla których przeciwwagą nie stają się dokonywane zbrodnie. Piekielnie dobra, tym razem „filmowa robota", budzi podobnie niebezpieczną nostalgię jak wspomniana wcześniej, a film Cappoli nie jest przecież utworem społecznie i moralnie obojętnym.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA...

Istnieje w naszym życiu społecznym wiele problemów, które od czasu do czasu objawiają swe ponure oblicze publicznej uwadze i nie rozwiązane z powrotem znikają za horyzontem codzienności. Chwilowe zainteresowanie nimi spełnia się w ciągu pobożnych życzeń, postulatów i propozycji, których dyskusyjny zamęt cichnie we wszechpotężnym skrzeku rzeczywistości. W tej znamiennej prawidłowości kryje się próba psychospołecznej terapii: kiedy nie sposób wyłamać się z powszechnej niemożności ulżyjmy sobie trochę w duchu krytycznym. Idealnym przykładem takiej postawy wobec życia jest okresowy niepokój, jaki wzbudza kultura językowa naszego społeczeństwa. Wystarczy wyjść na ulicę, włączyć radio lub telewizor, przeczytać gazetę codzienną, aby z łatwością przekonać się, że polszczyzna współczesna degeneruje się w oczach i w uszach. I ten zastraszająco szybki proces dokonuje się w narodzie, którego doświadczenia historyczne nauczyły cenić kulturotwórczą wartość języka.

W ocenie tego zjawiska istnieją dwie szkoły: bierna i czynna. Przedstawiciele pierwszej uważają, że rozwój języka przebiega spontanicznie i miarę poprawności danej formy językowej stanowi jej sukces statystyczny czyli tzw. usus. Natomiast zwolennicy szkoły czynnej wołają, że mowę polską należy kontrolować, nakładać jej wędzidło w postaci gramatycznych kodeksów i wymuszać poprawność na drodze administrowania językiem.

Oba stanowiska są równie nieskuteczne. Pierwsze dlatego, że na skuteczności w ogóle mu nie zależy, drugie zaś próbuje egzekwować cel środkami sprzecznymi z istotą procesów językowych. Te bowiem mają charakter organiczny i zdecydowanie odrzucają zewnętrzne manipulacje. Zachowania językowe, jak wszystkie zachowania społeczne rozwijają się poprzez realizację określonych wzorów kulturowych. Wypada zatem ustalić obecny punkt odniesienia. Drzewiej autorytetem językowym dysponowała literatura zwana piękną, również szkoła, w której wykładano retorykę, wreszcie inteligencja humanistyczna (innej nie było) uprawiająca sztukę elokwencji.

Obecnie literatura wyraźnie rezygnuje ze stylu wysokiego i penetruje mowę potoczną. W prymitywnej swoistości języka upatruje możliwość zbliżenia się do prawdy o człowieku. Zwracając uwagę w społeczne regiony dotąd egzotyczne, ulegla ich językowej presji. Z drugiej strony rezygnacja literatury z językowego piedestału jest powiązana z ograniczeniem jej społecznego zasięgu. W szkole retoryka jest pojęciem nieznanym a oświatowe znaczenie szkoły zmalało w obliczu atrakcyjnego środowiska kultury masowej. „Ostatni Mohikanie" prawdziwej inteligencji humanistycznej zabarykadowali się w twierdzach uczonej terminologii specjalistycznej, która mnoży się z tęsknoty do nadania wiedzy o człowieku obiektywnej rangi ścisłej dyscypliny.

Kultura nie znosi próżni. Na opuszczone miejsce wdarły się nowe autorytety, masowo dyktujące nowy obyczaj językowy. Trudno coś odkrywczego napisać na temat dziennikarskiej polszczyzny produkowanej przez „publikatory" (sic!). Że jest wyświechtana, bezosobowa, dęta, drętwa, wyprana ze stylistycznej inwencji, nudna, odpychająca i pokraczna — powszechnie wiadomo. Przykłady płyną ze wszystkich stron: „Pełna i prawidłowa realizacja programu rozwoju usług dla ludności powinna pozostawać w centrum uwagi resortów, zjednoczeń, przedsiębiorstw i rad narodowych, które w tym samym celu muszą w nadchodzących latach w większym stopniu niż dotychczas wykorzystać poważne rezerwy tkwiące jeszcze w tej sferze działalności gospodarczej" (z audycji radiowej); „... w wieku od 23 do 25 lat Japonka wychodzi za mąż i rodzi przeciętnie 2,13 dziecka". (z komentarza prasowego); „Jakie kierunki podejmujecie, ażeby odzyskiwać te surowce, odpady? Kierunków jest kilka. Jeden z nich to zagadnienie działania z dostawcami, by jakość surowca była dobra". (z wywiadu telewizyjnego). Ostatni przykład jest szczególnie plastyczny. Pokazuje, że już w pytaniu dziennikarza jest zawarta propozycja poczwarnego deklamowania produkcyjnej problematyki w rozmowie, która z natury swojej winna przekonywać stylem rzeczowym i jasnym.

W telewizyjnych dyskusjach, komentarzach i wywiadach odciska się mechanicznie wpływ dwóch żywiołów stylistycznych, które zdominowały życie publiczne języka ogólnopolskiego: styl kancelaryjno-biurokratyczny i naukowo-techniczno-produkcyjny. Znakomita większość telewizyjnych prelegentów poddaje się tej dominacji bezrefleksyjnie. Cierpi na tym podstawowy obowiązek języka, który jest przecież narzędziem porozumienia. W kliszach językowych, w zużytych stereotypach i w dziwacznych neologizmach jakże często więdnie sens wypowiedzi!

Istnieje powiedzenie, że „styl to człowiek". Można je skojarzyć z anglosaskim sloganem „TV is the personality" i złoży się przyczyna opisanego tu stanu rzeczy. Otóż telewizja jest sprawą osobowości, która objawia się w indywidualnym stylu wypowiedzi.

„Pan jest łokurant" — może mi odpowiedzieć red. Mikołajczyk z „Panoramy" który już raz tak kogoś skrzyczał. Owszem, jestem panie redaktorze — odpowiadam grzecznie, choć nie wiem, o co chodzi. Ale ja na szczęście nie zajmuję się dziennikarstwem telewizyjnym.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

POCZTA LITERACKA

Marek S. Łódź. Chyba nie dość uważnie czyta Pan „Pocztę literacką", bowiem — o ile mnie pamięć nie myli — odpowiadałem Panu w tym miejscu co najmniej dwukrotnie. Powtarzam więc raz jeszcze: wiele u Pana ciekawych sformułowań wiele ładnych obrazów, ale także wiele banału i nieporadności. Jeśli Pan to swoje pisanie chce traktować serio, to musi Pan nad wierszami także pracować, nie tylko notować nastroje i obrazy. Wielu ludziom może się to wydać dziwne — pisanie wierszy kojarzy się zwykle z zajęciem „lekkim, łatwym i przyjemnym". W gruncie rzeczy jest to także praca — solidna praca nad słowem.

J. P. Pabianice. „Prosiłbym, abyście mnie zawiadomili, czy w ogóle mam jakiś talent" — piszesz. Na razie wiem tylko jedno, że masz 15 lat, o czym mnie poinformowałeś w liście. Co do talentu — sprawa jest bardziej złożona. Po pierwsze mało kto objawia talent w wieku lat piętnastu. Ty, niestety, nie objawiasz nawet szkolnej kultury literackiej. Czytaj przyjacielu — na razie dużo czytaj, bo wówczas na pewno nie napiszesz takich wierszy:

„Wrócisz człowieku mordować ludzi
Ale i ciebie to kiedyś strudzi
I wtedy pobożny ze śmiertelnym grzechem
Umrzesz nędzniku, umrzesz ze śmiechem'.

Ewa z Tomaszowa. Bardzo się cieszę, że trafiłem Pani do przekonania. Pisze Pani bowiem w kolejnym liście: **„Krytyka wasza była w pełni uzasadniona, ponieważ po przeczytaniu wierszy kilka razy doszłam do takiego samego wniosku".**

Pani notatki liryczne są dość zgrabne, ale niestety nie do druku. Jest w nich jednak jakiś własny ton. Natomiast w wierszu o Oświęcimiu popełniła Pani zasadniczy błąd, który zresztą popełnia wielu piszących. Ten wiersz, jest bowiem zbyt histeryczny, zbyt wiele w nim krzyku i wykrzykników. O tak przerażających sprawach można mówić w sposób przejmujący, bądź — milczeć. W Pani wierszu natomiast jest wszystko publicystyka, patos, retoryczne pytania i odpowiedzi — nie ma tylko owej „siły fatalnej", która by poraziła czytelnika. Zofia Nałkowska też widziała Oświęcim i napisała proste zdanie: **„Ludzie ludziom zgotowali ten los".** Było w tym zdaniu ogromne zdumienie i przerażenie, była jakaś bezradność wobec tej ludzkiej — nieludzkiej zagadki. W Pani wierszu jest tylko retoryka i publicystyka.

Agnieszka z Łodzi. Prosi Pani o „pisemny odpis". Nie mogę — to przekraczałoby moje siły. Odpowiadam tylko na łamach „Odgłosów", inaczej musiałbym założyć specjalne biuro.

Jeśli chodzi o wiersze — to podobają mi się, choć są prościutkie i dosyć banalne. Ale właśnie ta prostota i autentyczność wzruszeń może się podobać. Jest Pani zdecydowanie „do przodu" w stosunku do tych autorów, którzy siłą się na płytką filozofię lub dętą retorykę. Chyba najlepszy jest „List", choć z pewnością można by go bardziej dopracować. Podoba mi się też konsekwentna metaforyka w wierszu „Napisane nocą". Z ciekawością czekam na następne wiersze — ale niech się Pani nie śpieszy. Pisać warto tylko wtedy, jeśli ma się coś istotnego i autentycznego do zanotowania.

Andrzej P. Łódź. Proszę Pana — kolega nie miał racji. „Częstochowszczyzna" nie jest kategorią oceny, wiersze stroficzne, rymowane pisał Lechoń, pisuje i Grochowiak. (np. sonety szare czy brązowe). W Pana wypadku rym i rytm wiersza nie jest wcale wadą, bo są to wiersze najzupełniej współczesne. Podobają mi się te wiersze — ma Pan wiele kultury literackiej, zmysł obserwacji, niebanalną metaforę... Oczywiście są i nieporadności, czasem rytm się złamie, czasem rym zabrzmi sztucznie, ale ogólnie są to bardzo interesujące próby i myślę, że warto je kontynuować.

KRYTYK

MAGAZYNEK

ROZSĄDNY WIOSENNY APEL

Starajmy się zawsze, w miarę możliwości, zachować umiar i zdrowy rozsądek. Nawet na wiosnę nie wpadajmy w tani optymizm. Różnie bowiem w życiu bywa. I tak np. pan Zenek S. wygrał na loterii samochód marki „Syrena". A jednak mimo wszystko, pan Zenek nie czuł się szczęśliwy. Miał lęki, niepokoje, niebezpieczne zamyślenia nad kierownicą. Coraz częściej konsumował alkohol, mucąc sobie smutno. Aż raz poszedł do kina i wtedy dopiero zrozumiał, że samochód to nie wszystko... Szybko rozdał „Syrenę" ubogim, od razu uzyskując spokój i równowagę. Apelujemy: zachowujmy zdrowy rozsądek. Pieniądze przeznaczone na samochód, odłóżmy raczej na bilety do kina.

WIELKI WSTYD W TRAMWAJU

Raz w tramwaju kłóciło się dwóch reżyserów filmowych o to, co ważniejsze w dziele filmowym: Treść czy forma. Dyskusja stała się w końcu tak głośna, że motorniczy odwrócił głowę. „Lepiej przestańcie się kłócić — powiedział motorniczy — i zacznijcie kręcić dobre i wesołe filmy"! Reżyserzy strasznie się zawstydzili i przyrzekli zastosować się do serdecznej rady motorniczego I pojechał tramwaj dalej ale dzwonił już inaczej, bo radośnie.

WYDARZENIE W KINIE

Pewien pan zaprosił narzeczoną do kina „Włókniarz". Niestety, już od początku seansu zamęczał swoją partnerkę nieustannymi pytaniami, czy dobrze widzi i słyszy. Wreszcie zdenerwowana tym narzeczona odrzekła: „Naprawdę dobrze widzę i słyszę. A ty kochanie?" Wtedy pan zapewnił ją, że też dobrze widzi i słyszy. Reszta seansu upłynęła im bez przeszkód.

MAŁE KINO

Najlepsze są te małe kina

KIG

PROSTE A ZDUMIEWAJĄCE

Wielki teoretyk kina B. E. Olmann odkrył ostatnio, że nawet najbardziej nieudany film nabiera swoistej i intymnej wartości, jeśli oglądać go jednym okiem przez dziurkę od klucza. W wyjątkowo skrajnych przypadkach należy wyeliminować dziurkę od klucza i zamknąć oba oczy.

NOWE IDZIE!

W kinie „Ziemiomysł" w Zazdrośnicach Dln. po raz pierwszy zerwano z nużącą i pracochłonną tradycją, nakazującą przed wejściem na salę kinową zakupienie biletu kinowego. Kasjerka zamiast biletu odciska pieczątkę na czole potencjalnego widza. Bileter nie musi trudzić się obrywaniem odcinków, wystarczy baczne spojrzenie na górę twarzy wchodzącego. Wśród miejscowej młodzieży wytworzyła się nawet forma zdrowej rywalizacji. polegająca na tym, że im więcej dany osobnik ma pieczątek na czole, tym lepszym jest kinomanem.

POŻEGNANIE PRAWDZIWEJ WIELKOŚCI

W Stanach Zjednoczonych zmarł ostatnio John Barbituran sr. Odtwarzał on role małp w większości filmów amerykańskich. W swoim zawodzie osiągnął mistrzostwo. Pewien znany krytyk filmowy oświadczył w mowie pogrzebowej, iż niewykluczone jest, że ludzkość pochodzi właśnie od J. Barbiturana sr. a nie od jakiejś bezimiennej małpy.

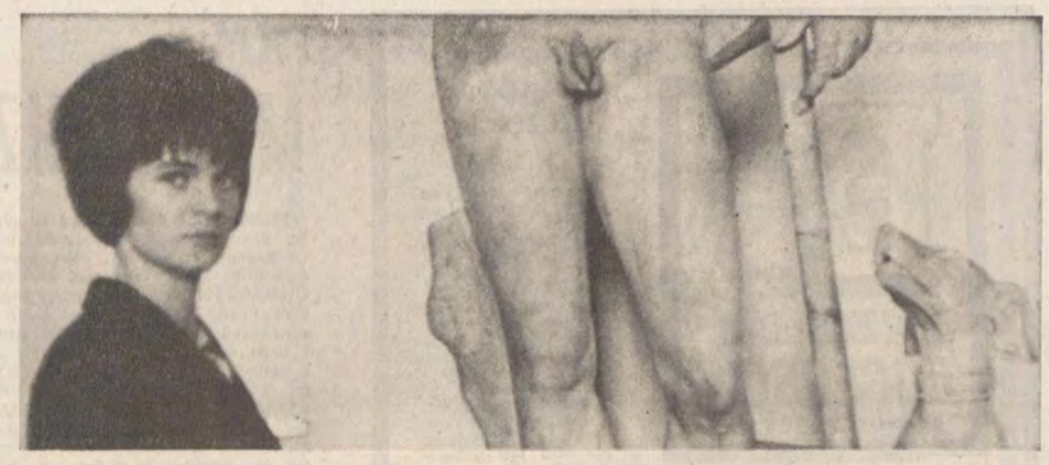

Fot. W. Paryś

POWIĘKSZENIA

TAJEMNICZA NAGRODA

W wywiadzie z Wacławem Bilińskim „Express" pisze, że pisarz otrzymał za powieść „Nagrody i odznaczenia" trzy nagrody: **„główną nagrodę literacką, nagrodę ministra MON i nagrodę ministra Kultury i Sztuki".**

Ciekawi nas bardzo co to za wyróżnienie owa „główna nagroda literacka". Jak dotąd w Polsce czegoś takiego nie ma. Fakt, że nie istnieje żadna „główna nagroda literacka" nie zmienia jednak liczby trzech nagród. Po prostu „wywiadowczyni" zapomniała, że powieść Bilińskiego była nagrodzona także na konkursie Wydawnictwa MON. Oczywiście to drobiazg, ale skoro już się o tym pisze...

REPERTUAR

Łódzka prasa podaje repertuar kin łódzkich. Ostatnio nasze zaciekawienie wzbudziła informacja:

Dom Kultury Milicjanta — „Był sobie glina".

RECENZJA

W „Nowych Książkach" (nr 4) Henryk Kurta recenzuje antologię reportaży łódzkich opracowaną przez Konrada Frejdlicha. Recenzent ma pretensje do Frejdlicha, że w antologii jest luka w latach 1937-1952. Ano — luka jest. Tylko, że w tych piętnastu latach mieści się wojna i okupacja — nikt wtedy reportaży w Łodzi nie pisał. W pierwszych latach powojennych też było trochę ważniejszych spraw i reportaż nie obrodził zbyt obficie.

Można mieć zawsze do autora pretensję, że czegoś nie napisał — ale mieć pretensję do autora wyboru, że nie wybrał reportaży z okresu kiedy reportaży nie było?

SZCZYT INFORMACJI

Obsługa jednego z łódzkich hoteli, którego nazwy nie wymienimy w imię dobrze pojętej dyskrecji, osiągnęła już krajowy pułap pełnej i wyczerpującej informacji o życiu gości hotelowych. Osobie poszukującej telefonicznie pewnej Popularnej Postaci ze sfer artystycznych, recepcjonistka doniosła, że Popularna Postać nie tylko nie zostawiła klucza w recepcji, ale w ogóle nie wróciła na noc.

W ten prosty sposób wyrównano rekord Opola, gdzie przedstawicielom prasy, pracownicy tamtejszych hoteli opowiadali co pikantniejsze szczegóły z życia artystów, mających nieszczęście gościć w Opolu.

Tylko ze względu na nasze dobre wychowanie nie nazwiemy po imieniu takich praktyk.

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

MALAMUD

NOWE ŻYCIE

Jej obecność, tu w lesie, wywołała w nim na moment ponowny smutek, jak gdyby znalazł się zbyt późno na właściwym miejscu, uczucie, którego często doznawał w swoich snach.

— Tak się nagle zrobiło wiosennie, że zostawiłam dzieci z opiekunką, aby się trochę przejść — powiedziała Paulina.

— Była pani już kiedyś w tym lesie?

— Tak. A pan?

— Nie.

— Nie wiedziałam, że pan obserwuje ptaki.

— Jeśli można to tak nazwać. Większość ucieka, zanim zdołam się zorientować, co widziałem.

— Kiedy pana spostrzegłam, był pan nimi pochłonięty bez reszty.

— Jako mały chłopak lubiłem patrzeć przez okno na wróble obsiadające telegraficzne druty albo skaczące po śniegu.

— Nie widziałam pana od wielu tygodni.

— Około dwóch, powiedziałbym. Jak ten czas leci.

— Tyle wygadywałam u Bullocków. Myślę, że od lat nie uderzył mi tak alkohol do głowy.

— Proszę się tym nie przejmować, zapomniałem, co pani mówiła.

— Niech pan nie zapomina.

Nie patrzyli na siebie. Kiedy ich oczy spotkały się, uderzył go wyraz tak zgłodniałej czułości, że z trudem uwierzył, iż jest jej obiektem. Doświadczając mnóstwa skrupułów, rzucił swoje rzeczy na trawę. Padli sobie w ramiona z impetem.

— Mój Boże — szepnęła Paulina. Od jej pocałunku ugięły mu się kolana. Nie oczekiwał, że będzie tak wymagająca.

Przestrzegał sam siebie: zmykaj, chłopcze. Zatopiony w tym głębokim pocałunku widział siebie, jak ucieka, brodaty ptaszek, postać ze snu, ale nie był w stanie się poruszyć.

Rozłączyli się, ciężko dysząc, spojrzeli na siebie, jakby upojeni, i po chwili obustronnego wahania, które graniczyło z bólem, objęli się znowu.

— Kochany.

— Paulino. — Chciał krzyczeć, że ją kocha, ale powstrzymał się.

Ręka Seymoura sięgnęła ku jej piersi, ale nic nie znajdując zmieniła kierunek. Paulina chwyciła jego palce, po czym ustąpiła tuląc się doń całym ciałem.

— Dokąd pójdziemy? — spytał?

— Dokądkolwiek.

Wzięła go za rękę i poszli w las. — Seymour obejrzał się, aby zapamiętać, gdzie rzucił swoje rzeczy. — Tutaj — powiedziała stojąc w zielonym cieniu. Zieleń była tu gęsta, grunt wilgotny, ale miękki od igliwia i martwych liści.

— Rozłóż swój płaszcz. — Rozpostarła swój na jego palcie, po czym zrzuciła buciki i czarne majteczki. Leżąc na palcach, uniosła biodra i podciągnęła spódnicę...

Kiedy ukląkł, oczekiwała z wyciągniętymi ramionami, czule pogłaskała go po brodzie, po czym objęła namiętnie.

Przenikała go świadomość, jakie to wszystko bajeczne — w głębi lasu, ni mniej, ni więcej, co za triumf?!

Kiedy wyczesywała sobie z włosów igliwie, las pociemniał i zaczęło padać. Czekali pod parasolem, u stóp starego liszajowatego wiązu. Jeśli spodziewał się, że będzie się po tym czuł nieswojo, to był w błędzie. A kiedy szukał w jej oczach wyrazu winy, uderzył go ich blask i ciepło. Obejmując ją wpół trzymał parasol nad głową. Opierali się o pień drzewa, jej głowa spoczywała na jego ramieniu. Czuł się przepełniony wdzięcznością i spokojem i usiłował nie myśleć o tym, o czym myśleć nie musiał, to jest o przyszłości.

(Fragment)

Barnard Malamud, zaliczany do czołowych współczesnych pisarzy amerykańskich, urodził się w 1914 roku w Brooklynie. Jest z zawodu nauczycielem. Napisał trzy powieści; wydał też dwa tomy opowiadań: „Idiots" i „The Magic Barrel", za które w 1958 roku otrzymał National Book Award.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 656. C-4. Nr indeksu 37006